NR 41 (1965) 13 PAŹDZIERNIKA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

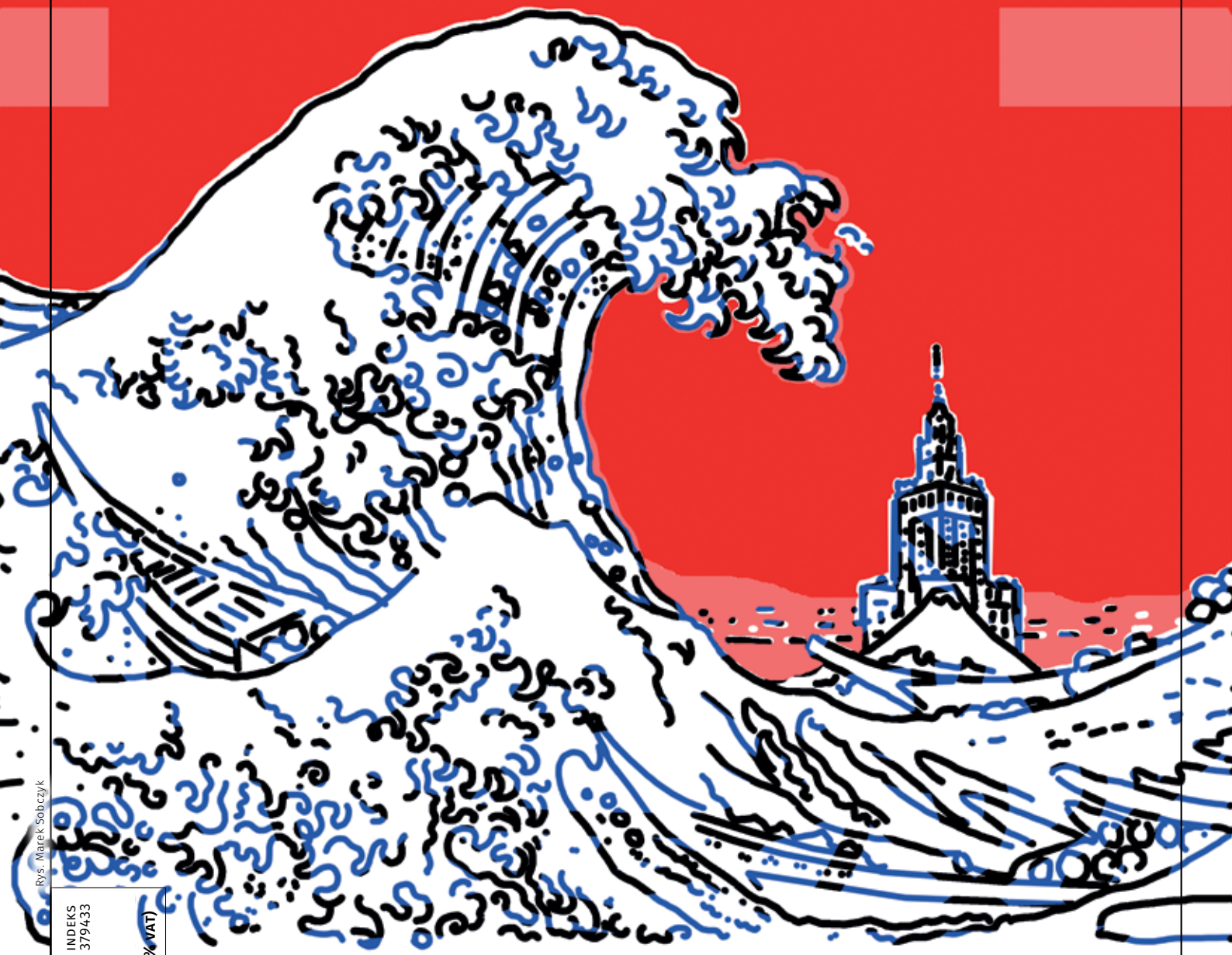

Rys. Marek Sobczyk

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

Jak odbić
LEMINGRAD?

TYSOL.PL

- DEKLARACJA ENERGETYCZNA POLSKIEGO PATRIOTY
- SOLIDARNOŚĆ STAJE W OBRONIE TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

eprasa.pl 14a885cb4b

42. ROCZNICA ŚMIERCI BŁ. KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI

RP Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego

16 X 19:30

JUBILEUSZOWY KONCERT CHARYTATYWNY
W DNIU PAPIEŻA JANA PAWŁA II
„JEST ONA JEDNĄ Z TYCH ŚMIERCI,
KTÓRE SŁUŻĄ DO ODRADZANIA SIĘ ŻYCIA"

KOŚCIÓŁ ŚW. STANISŁAWA KOSTKI
WYSTĄPIĄ M.IN. HALINA FRĄCKOWIAK,
ALICJA WĘGORZEWSKA, JANUSZ SZROM,
MAŁGORZATA SZAREK, PATRYCJA KULICKA,
DOMINIK ARIM, HANIA ADAMCZYK, PIOTR BAGUN

18 X 9:00 – 13:00

RODZINNA GRA MIEJSKA
ŚLADAMI WARSZAWSKICH MIEJSC ZWIĄZANYCH
Z OSOBĄ KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI

POD PATRONATEM HONOROWYM
ABP ADRIANA GALBASA
METROPOLITY WARSZAWSKIEGO

19 X 18:00

UROCZYSTA EUCHARYSTIA
POD PRZEWODNICTWEM
ABP ADRIANA GALBASA
METROPOLITY WARSZAWSKIEGO

19 X 20:30

CZUWANIE MŁODZIEŻOWE

SŁUŻĄC STAJĘ SIĘ
wolnym

ORGANIZATORZY

WSPÓŁORGANIZATOR KONCERTU

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 14a885cb4b

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Czy wybory na prezydenta Warszawy mógłby wygrać mop z plastikową rączką? Albo ogrodowy krasnal? Albo cokolwiek innego – byle tylko przepasane szarfą z logo Koalicji Obywatelskiej? Od lat władza liberałów w polskiej stolicy wydaje się niepodważalna. Utwierdzają to przekonanie nawet ostatnie wydarzenia, gdy w dawnym stołecznym Krakowie udało się obywatelom przegonić ze stanowiska platformerskiego prezydenta Aleksandra Miszalskiego, a jednak w tym samym czasie w Warszawie referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego padło jeszcze w przedbiegach. Dlaczego tak jest? Z jakiego powodu największa polska metropolia pozostaje twierdzą Lemingrad, bastionem fajnopolactwa i redutą uśmiechniętego libka?

Może przyczyną jest wyjątkowa akumulacja pieniądza? Tylko z podatku PIT oraz opłat lokalnych do stołecznego budżetu trafia co roku prawie 17 mld złotych. A do tego jeszcze ponad 4 mld CIT-u od firm mających siedzibę w polskiej stolicy. W sumie 28 mld corocznych wpływów. W Krakowie czy Wrocławiu mają trzy razy mniej. Te pieniądze to realna siła. Można przy ich pomocy zbudować niczego sobie mechanizm wpływania na opinię publiczną przy pomocy zaprzyjaźnionych elit medialnych, biznesowych, kulturalnych czy symbolicznych. Przyjaźń owa ma zaś mocne osadzenie w dobrze pojętym (i przeliczalnym na reklamy, dotacje, miejsca pracy) interesie beneficjentów. Jednocześnie wszystko to jakby trochę po cichu i poza radarem. Pamiętacie, jakież było oburzenie, że w czasach rządów PiS ówczesne „Wiadomości" wykupiły kampanię reklamową na autobusach miejskich w zaprzyjaźnionych z prawicą ośrodkach. W warszawskim metrze dzień w dzień sączy się pasażerom pod powieki przekaz dzisiejszej prorządowej TVP Info oraz zapętlone filmiki o kolejnych sukcesach Rafała Trzaskowskiego w stolicy. I co? I nico, stara donico! Im oczywiście wolno.

A może chodzi o wirusik „aspiracjonizmu" wyjątkowo dobrze czujący się w warszawskim powietrzu. Szczególnie w jej nowych „osiedlach" (bo przecież nie „blokowiskach"), gdzie korzenie zapuszczają ci, co chcieliby stać się częścią marzenia o Polsce zamożnej, postępowej i europejskiej. Częścią tej opowieści jest oczywiście odcięcie sobie przez tę nową klasę średnią owych wszystkich pępowin łączących ją z Polską, którą zostawili za sobą. Uczestnictwo w fajnopolackich rytuałach poparcia dla obozu liberalnego ma zaś ten awans przyspieszać i go pieczętować.

Jeszcze innym powodem może być brak dobrej kontroferty oraz wytrwałości w jej budowaniu. Od czasu warszawskiej prezydentury Lecha Kaczyńskiego ćwierć wieku temu nikomu nie udało się nawet zacząć budowania rozpoznawalnej antylibkowej marki politycznej pod specyficznym kątem potrzeb stolicy. Kolejni kandydaci PiS-u byli dość przypadkowi i nawet jak mieli na siebie pewien wyrazisty pomysł (Patryk Jaki w roli reprywatyzacyjnego szeryfa), to potem ich wyborcza porażka z kolejnymi politycznymi mopami Platformy sprawiała, że projekt się definitywnie kończył. Za cztery lata przychodził zaś kolejny i dzielił los poprzedniego. U pozostałych ugrupowań było z tym jeszcze słabiej.

W sumie jednak to niezbyt ważne, który z powyższych argumentów wydaje się komu najbardziej przekonujący. Żaden z nich nie czyni twierdzy Lemingrad warownią niemożliwą do zdobycia. Liberalne koterie mogły się na Warszawie uwłaszczyć, ale ich niechęć do dzielenia się uprzywilejowaną pozycją z innymi tworzy naturalną zachętę, by wysadzić ich w końcu z siodła. Aspiracje Polaków niekoniecznie zaś muszą mieć na wieki wieków barwy tęczowo-unijnego progresywizmu. Jeśli zaś dojdzie do tego bardziej długofalowy plan na Warszawę po stronie nieuśmiechniętej opozycji, to wydaje mi się, że i z dumnego Lemingradu może nie zostać kamień na kamieniu. Nie takie potęgi już przecież na świecie upadały. S

Aspiracje Polaków niekoniecznie muszą mieć na wieki wieków barwy tęczowo-unijnego progresywizmu.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 14a885cb4b

13.10.2026
WYDANIE Nr
41

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Lemingrad – twierdza nie do zdobycia?

8 Odbić Warszawę. Kiedykolwiek

12 Stolica bez charakteru

16 Warszawa jest inna

20 Trzaskowski jest silny słabością opozycji. Rozmowa z J. Śpiewakiem

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Ludzie za burtą, czyli krajobraz po PGR-ach 24

KRAJ

Musimy odrzucić polityki klimatyczne 28

Czy rzeczywiście jesteśmy regionalnym mocarstwem 34

Tydzień przyjaźni polsko-koreańskiej 38

ZAGRANICA

Węgierska demokracja wal(r)cząca 42

KULTURA

Chciałabym, żeby „Pieśń o lataniu” uradośniła całą Europę. Rozmowa z K. Lizer 54

Były sobie Lalki cztery 58

„Òpi” – kaszubski horror (nie polecam!) 62

HISTORIA

Hołota zwerbowana do mordowania 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68

Solidarność staje w obronie Trybunału Konstytucyjnego 70

FELIETONY:

OKRASKA 7

GAC 31

SKWIECIŃSKI 41

KRYSZTOPA 53

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 23

LEKCJA ANATOMII PROFESORA PINGWINA 32

KARUZELA Z BLIGERAMI 37

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 49

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 50

GŁOS REGIONU 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 14a885cb4b

WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 14a885cb4b

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 14a885cb4b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Jedno wielkie rządowe opóźnienie

W cieniu propagandy o odbudowie kolei dokonuje się jej dezorganizacja. Widać to w oficjalnych danych.

Do roku 2015 kolejne liberalne rządy – Jerzego Buzka, Leszka Millera, Marka Belki i Donalda Tuska – na potęgę likwidowały linie kolejowe, demontowały tory, cięły połączenia, zamykały dworce. Aparat propagandowy, zwany „wolnymi mediami", przyklaskiwał temu. Bo „nierentowne", „niepotrzebne", „zacofane". A gdy związkowcy-kolejarze protestowali, to wiadomo: „oszołomy", „roszczeniowcy", „wichrzyciele".

Za rządów PiS zaczęto remontować linie, przywracać połączenia, odnawiać dworce i perony. Powstał celowy program odtwarzania połączeń do miast wykluczonych komunikacyjnie – Kolej Plus. 128 parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej nie poparło ustawy w tej sprawie w 2020 roku.

Za grube pieniądze remontowano wagony i zamówiono nowe, podobnie było z lokomotywami. PiS w pierwotną wersję KPO wpisało wielkie zakupy nowego taboru. Dla PKP Intercity, kolejowych spółek wojewódzkich oraz dla przewoźnika Polregio.

No i CPK. W pierwotnej wersji był to program przełomowy. Nowoczesny wielki port lotniczy, trasy szybkich pociągów między metropoliami, ale także odcinki łączące prowincję z dużymi ośrodkami. Ta wizja podbiła serca nie tylko sympatyków prawicy.

Kolej jest już ważna. Już nie da się opowiadać o „nierentowności" i likwidować. Polacy polubili pociągi. Chcą mieć nowoczesne i sprawne połączenia.

Tusk i spółka muszą brać nastroje pod uwagę. Stąd obecność tej tematyki w propagandzie obozu władzy. Zapowiedzi, wizje, plany – im bardziej odległe w czasie, tym chętniej powtarzane. Przypisywanie sobie zasług poprzedników, gdy jakąś inwestycję sprzed roku 2024 uda się wreszcie dokończyć. Przecinanie nawet najmniejszej wstęgi na wyremontowanym peronie. Dawni likwidatorzy kolei nagle ją pokochali.

Ktoś powiedział: sprawdzam. Poseł PiS Michał Moskal zapytał o punktualność pociągów. Odpowiedź rządu poraża. W czerwcu 2026 r. do stacji docelowej dotarło na czas zaledwie 58 proc. składów PKP Intercity, a w lipcu – 59 proc. Dla porównania: w czerwcu i lipcu 2023 r. punktualność pociągów tego samego przewoźnika była wyższa o 10–11 punktów procentowych.

Tak fatalne wyniki nie są bynajmniej skutkiem remontów. Poseł Moskal mówi: „W pierwszym półroczu 2026 r. PKP Intercity odpowiadało za ponad 330 tys. minut opóźnień pociągów objętych umową, podczas gdy zarządca infrastruktury PKP Polskie Linie Kolejowe – za niespełna 87 tys. minut. Przewoźnik wygenerował niemal czterokrotnie więcej opóźnień niż zarządca torów".

Informacja o fatalnych wynikach punktualności pociągów dalekobieżnych wywołała nerwowość zwolenników Tuska. W internetowych dyskusjach dostawali piany na buziach, gdy podawano rządowe dane. Chodzi nie tylko o to, że podkopują one propagandę w sprawie kolei.

Rządząca ekipa usiłuje udawać fachowców i modernizatorów Polski. Tymczasem nieudacznicy upasieni tłustymi publicznymi posadami i milionami mają dwie lewe ręce do efektywnej pracy. To nic nowego. Podobnie było z koleją, autostradami, stadionami i czymkolwiek innym za ich poprzednich rządów.

To nie tylko pociąg przyjeżdża z opóźnieniem. To coś więcej. To król jest nagi.

eprasa.pl 14a885cb4b

Temat Tygodnia

ODBIĆ Warszawę. Kiedykolwiek

Czy da się odbić Warszawę „uśmiechniętym”? Stopień trudności tego zadania można chyba porównać tylko do wygrania przez Polskę **mundialu w cuglach**. Może więc zamiast roić o zdobywaniu stolicy, lepiej pogodzić się z rzeczywistością, uznać Warszawę za teren stracony i skierować siły tam, gdzie zwycięstwo jest choć trochę bardziej prawdopodobne?

Ludwik Pęzioł

Proj. K. Karnkowski

Choć zwykle jestem antydefetystą, tutaj postawę rezygnacji w pełni rozumiem. Stolica jest tak okopana na pozycjach libkowych, fajnopolackich, postępackich i tęczowych, że samo marzenie o zmianie tego stanu rzeczy musi uchodzić za naiwne. Z drugiej strony, zawsze, gdy widzimy sprawnie funkcjonujący system, można zadać pytanie: co decyduje o trwałości i zabetonowaniu całego mechanizmu? To pozwala postawić pierwsze cele ataku, nawet w sytuacji pozornie beznadziejnej.

Iluzja mata w jednym ruchu

W przypadku „odbijania Warszawy” trudno wierzyć w proste i szybkie rozwiązanie. Rzecz jasna możemy wyobrazić sobie sytuację, w której przyparci do muru warszawiacy wybierają „zaściankowego” kandydata na prezydenta miasta, gdy poczują realne zagrożenie dla siebie i swoich interesów. Mogłoby się to wydarzyć przy założeniu, że wybory przestałyby być dla nich sporem światopoglądowym, a stały się kwestią zwykłego bezpieczeństwa. Na przykład: w mieście zaczynają grasować kolorowe gangi, ludzie boją się wychodzić na ulice, a jednocześnie staje się jasne, że „inkluzywny prezydent” nie potrafi zrobić z tym porządku. Takie perspektywy realnego, powszechnego zagrożenia są jednak odległe. Pozostaje więc myślenie długofalowe – nie o natychmiastowym zmieceniu uśmiechniętych władz miasta z powierzchni ziemi, lecz

eprasa.pl 14a885cb4b

o stopniowym osłabianiu fundamentów, na których się opierają.

Dookreślmy jednak najpierw, dlaczego „uśmiechnięci" tak dobrze trzymają się w Warszawie. Otóż stolica jest miastem biznesu i „aspirującej klasy średniej"; chłonie światowe nowinki i roztacza konsumpcyjne pokusy; w dużej mierze pozbawiona jest społecznej kontroli pilnującej dobrych obyczajów, a przy tym cieszy się względnym dobrobytem. Jej mieszkańcy są zaś zatomizowani i zanonimizowani. Wszystko to razem tworzy idealne podglebie dla idei lewicowo-liberalnych.

Idąc za – moim zdaniem słusznym – twierdzeniem Habermasa, że ludzki interes warunkuje poznanie, można powiedzieć, że warszawiacy widzą świat po „lewicowo-liberalnemu", ponieważ większości z nich po prostu się to opłaca. To stawia sprawę w zupełnie innym świetle: do zmiany nie wystarczy sprawna PR-owa sztuczka ani charyzmatyczny kandydat na prezydenta miasta. Korzenie politycznych wyborów mieszkańców sięgają

eprasa.pl 14a885cb4b

bowiem znacznie głębiej: aż do warunków ekonomicznych.

Nabór uśmiechniętego rekruta

Choć powyższy wniosek zdaje się pesymistyczny, równocześnie odsłania słabe punkty „warszawskiej maszynerii". Jednym z ważniejszych jest ludność napływowa – ci, którzy do Warszawy przybywają w poszukiwaniu zarobku i lepszego życia, ale są jeszcze uformowani przez swoje dawne środowiska: wsie, małe miasteczka, tzw. konserwatywną „Polskę B". Choć mogą się wśród nich zdarzać postępowi outsiderzy, którzy nie mieścili się w ramach swoich „małych ojczyzn" i duchem byli wielkomiejscy od początku, życiowe obserwacje pokazują, że spora część zmienia się dopiero po zamieszkaniu w stolicy. Z ludzi dość konserwatywnych szybko stają się „awangardą postępu" gotową wchłonąć każdą bzdurę, jeśli tylko będzie wystarczająco „nowoczesna".

Przyczyny takich osobistych przemian wydają się łatwe do rozkodowania. Pomijając sprawną propagandę postępu, wyznawanie – i to często nadgorliwe – „ideologii uśmiechu" staje się najprostszym, a początkowo nieraz jedynym sposobem na wkupienie się w nowe towarzystwo i rozpoczęcie ścieżki kariery. „Nie jestem wpływowy nie mam kontaktów ani fury pieniędzy, ale jestem «swój», bo podobnie jak reszta nienawidzę «kato-talibanu», «homofobów», «debili klimatycznych», «faszów», «rasioli» etc.". Przy czym warto zaznaczyć: tego rodzaju „decyzja" o nowym „wdzianku światopoglądowym" wcale nie musi zapadać świadomie. To po prostu się dzieje, bo się opłaca.

Jak więc widać, nabór uśmiechniętego rekruta działa skutecznie i pozwala nieustannie zasilać uśmiechnięte szeregi. I jest to warunek reprodukcji całego systemu. Wyobraźmy sobie bowiem, że do Warszawy zjeżdżają kolejne osoby, ale nie wyzbywają się swojej „zaściankowej" formacji. Wtedy mogłoby wydarzyć się to, co dzieje się z mniejszościami, które zachowują własną tożsamość, konsolidują się i zaczynają domagać się zmiany obowiązującego status quo.

Aby do tego nie dopuścić, potrzebny jest mechanizm mentalnej korupcji: masz szansę na przyjaciół, karierę i minimum szacunku, ale pod warunkiem, że udowodnisz, iż po wybyciu ze swojego „zadupia" narodziłeś się na nowo. Stara tożsamość ma zostać w domu, najlepiej razem z akcentem, obyczajami i przekonaniami. W zamian dostajesz przepustkę do nowego świata.

Gdyby utrudnić nabór uśmiechniętego rekruta, warszawska liberalna lewica po jakimś czasie miałaby poważny problem. Jak jednak rozmontować ten „korupcyjny" mechanizm? Naszkicowanie dokładnej taktyki wymagałoby spisania swoistego podręcznika, więc pozostaje rzucić kilka ogólnych pomysłów. Na pewno na miejscu byłoby umacnianie dumy i tożsamości związanych z miejscem pochodzenia oraz jego lokalną kulturą. To zadanie zarówno dla samych lokalnych społeczności – aby potrafiły tę dumę i tożsamość kultywować – jak i dla potencjalnych animatorów ruchu, którego idee można by zawrzeć w prostym haśle: „Nie wstydzę się, skąd pochodzę". To mogłoby przynajmniej częściowo uodpornić ludzi na pseudowarszawską metamorfozę.

Wyzysk moralny w korpo

Nie wszyscy przyjezdni w Warszawie porzucili swoją właściwą, „nieuśmiechniętą" tożsamość. Wielu z nich wciąż pozostało tymi, kim byli wcześniej – tylko boją się wychylać. Podobnie jak porządni rodowici warszawiacy siedzą w korporacjach, milczą na firmowych czatach i w „open space'ach". Są zwyczajnie zastraszeni: udają brak zainteresowania sprawami politycznymi, a czasem wręcz symulują kogoś, kim nie są. Z prozaicznego powodu – boją

WIELU WARSZAWIAKÓW WIDZI ŚWIAT PO „LEWICOWO-LIBERALNEMU", PONIEWAŻ WIĘKSZOŚCI Z NICH PO PROSTU SIĘ TO OPŁACA.

W WARSZAWIE MASZ SZANSĘ NA PRZYJACIÓŁ I KARIERĘ, ALE POD WARUNKIEM, ŻE UDOWODNISZ, IŻ PO WYBYCIU ZE SWOJEGO „ZADUPIA" NARODZIŁEŚ SIĘ NA NOWO.

eprasa.pl 14a885cb4b

się wykluczenia, utraty pracy albo zamknięcia sobie drogi do awansu.

Między bajki można włożyć wiarę w to, że o funkcjonowaniu w pracy decydują wyłącznie kryteria merytoryczne. Pracownik, którego konserwatywne poglądy staną się znane, może przecież zacząć kalkulować, czy nie zaszkodzą mu one w relacjach z przełożonymi albo współpracownikami. Nie jest więc paranoją obawa przed ujawnieniem swoich poglądów – w pewnych środowiskach może ona mieć całkiem realne konsekwencje.

Przebywanie w takim stanie jest oczywiście upadlające i upokarzające. Traci się szacunek do samego siebie – i płaci się nim za niezłą pracę oraz względnie wygodne życie. Taki rodzaj korupcji (bo jak inaczej to nazwać?) wyłącza ze strony konserwatywno-solidarystycznej potężny rezerwuar ludzi. Ci „wyłączeni" nie wbijają klina w gęstą ideologiczną atmosferę biur, urzędów czy nawet spotkań towarzyskich. Cóż tu powiedzieć: większość z nas nie jest herosami. Postawiona przed wyborem między karierą a zamanifestowaniem własnego stanowiska w sprawach feminizmu, LGBT, aborcji czy liberalizmu, wybierze karierę. Tym bardziej gdy na karku ma kredyt.

Trzeba więc podejść do sprawy od innej strony: nie powinniśmy być stawiani przed takim dylematem! Skoro jedna strona zamienia zakład pracy w „poligon ideolo", mamy prawo domagać się przynajmniej względnej neutralności. Albo – jeśli neutralność jest już niemożliwa – przynajmniej prawa do mówienia własnym głosem bez obawy, że poglądy staną się zawodową kulą u nogi.

Z punktu widzenia pracownika podlegamy tu przecież pewnemu rodzajowi wyzysku – moralnego. Jesteśmy zmuszani do życia w rozdwojeniu. Wszystko to dzieje się pomimo Kodeksu pracy i przepisów prawa zakazujących dyskryminacji ze względu na poglądy. Trzeba więc ten temat podnieść. Wyobrażam sobie kandydata na ważny urząd w Warszawie, który przedstawi się jako głos tych stłamszonych i zażąda zakończenia dyskryminowania „niepostępowych" ludzi w miejscach pracy. Wciąż brakuje też NGO-sów, które stanęłyby po ich stronie i oferowały pomoc prawną w przypadkach takiej dyskryminacji. Choć tego typu sprawy bywają nagłaśniane (vide kazus pracownika Ikei) tutaj potrzeba czegoś więcej. Potrzeba sytuacji, w której zarządy zaczną realnie obawiać się konsekwencji dyskryminowania pracowników ze względu na ich poglądy. Także tych, którzy mają poglądy zachowawcze.

ISTNIEJE KONSERWATYWNA WARSZAWA: ROZPROSZONA, OSŁABIONA, CZĘSTO MILCZĄCA I POZBAWIONA WIARY WE WŁASNE MOŻLIWOŚCI; ALE ISTNIEJE.

Bo przecież istniejemy

Priorytetową sprawą w odbijaniu Warszawy jest też swoisty networking „nieuśmiechniętych". Że organizacja i poczucie własnej siły są podstawą, przekonały nas już różne mniejszości, które osiągnęły sukces właśnie dzięki tym umiejętnościom. Osamotniony, osaczony „reakcjonista" wśród uśmiechniętych zwykle nie ma ani odwagi, ani poczucia siły. Stąd potrzeba trzymania się razem, policzenia się i rozwiania iluzji, że jesteśmy „ostatnimi Mohikaninami". Bo nie jesteśmy.

Istnieje przecież konserwatywna Warszawa. Rozproszona, osłabiona, często milcząca i pozbawiona wiary we własne możliwości. Ale istnieje. I być może pierwszym krokiem do „odbicia" Warszawy nie jest wcale wygranie wyborów i zdobycie ratusza. Pierwszym krokiem jest sprawienie, żeby ci, którzy dziś mijają się na ulicach, siedzą przy sąsiednich biurkach i jeżdżą tymi samymi autobusami, przestali myśleć o sobie jak o samotnych wyspach.

TRZEBA SIĘ ZNALEŹĆ. POZNAĆ. ZACZEPIĆ. POMÓC SOBIE W PRACY, W DZIAŁALNOŚCI SPOŁECZNEJ, CZASEM ZWYCZAJNIE W ŻYCIU.

Trzeba się znaleźć. Poznać. Zaczepić. Pomóc sobie w pracy, w działalności społecznej, czasem zwyczajnie w życiu. Zbudować własne środowiska, własne miejsca i własne sieci zależności. Bo dopóki każdy „nieuśmiechnięty" siedzi cicho i sądzi, że jest sam, Warszawa będzie wyglądała na całkowicie uśmiechniętą. A przecież nie jest.

eprasa.pl 14a885cb4b

Stolica bez charakteru

Uwaga! To hasło nie spodoba się wielu: żeby stolica Polski nadal i na przyszłość nią była, **trzeba ją odzyskać**. Warszawę trzeba odbić z łap tych, którzy ją „wynarodowili", czyniąc z niej centrum walki z tradycją, a do tego maszynkę do lansu i zarabiania kasy na krzywy ryj. Tych, którzy sprawili, że stolica Polski stała się antytezą polskości.

Monika Małkowska

Tęcza na Placu Zbawiciela

Fot. Andrzej Hulimka / Forum

eprasa.pl 14a885cb4b

„Chciałem, żeby Warszawa była wielka. Wierzyłem, że wielka będzie. [...] Gdy teraz do was mówię, widzę ją przez okna w całej wielkości i chwale, otoczoną kłębami dymu, rozczerwienioną płomieniami ognia, wspaniałą, niezniszczalną, wielką, walczącą Warszawę". Te słowa Stefana Starzyńskiego wypowiedziane 23 września 1939 r. dotarły do całej Polski za sprawą fal radiowych.

Powie ktoś – teraz spełniły się marzenia Starzyńskiego, wprawdzie z niemal stuletnim poślizgiem, ale przecież doczekaliśmy się, że gród nad Wisłą stał się europejską metropolią. Prawda, czysto tu i na razie bezpiecznie, szklane domy strzelają coraz wyżej ku niebu, do tego dużo zieleni, knajp i marketów wszelkiego rodzaju. Jednak temu miastu brakuje czegoś, co przyciąga do innych światowych stolic: tu nie ma duszy. Nie ma tradycji. Lokalsi jakoś nie robią atmosfery, nie znają legend miejsc, które zamieszkują, ani ich nie kontynuują. Są z nasadzenia, korzeniami sięgając do swych prowincjonalnych domostw, których fasadowo się wypierają. Czy więc da się odzyskać warszawską duszę? I w jaki sposób?

Rodowodowo i ideologicznie

To nie będzie łatwe, więc trzeba sięgnąć po drastyczne środki: wyeksmitować z Warszawy wszystkich, którzy nie mogą wylegitymować się „warszawskością" do trzeciego, może nawet czwartego pokolenia wstecz. Cezurą jest rok 1939. Prawdziwy warszawiak musi mieć rodzinne koneksje z generacją, która pamiętała wojnę, powstanie i powojenny koszmar „nasadzania" tu komunistów rodem z NKWD i KGB. Wśród mieszkańców napływowych też znajdują się jednostki, którym powinno być przyznane prawo adaptacyjne. Kim oni są? Zaryzykuję charakterystykę. Wyróżnia ich wysokie morale i równie imponujące IQ, a także niezależność myślenia. Są prawi – co nie znaczy prawicowi, lecz nie ulegający pokusom lewackich apanaży. Z takich ludzi rekrutowałaby się swego rodzaju otoka, gwardia przyboczna, pomocna w rekonstrukcji warszawskiego rdzenia. Jasne, utopijna koncepcja. Ale co szkodzi pomarzyć?

Warszawka nasza powszednia

Dlaczego w Warszawie nie mogło się udać referendum w sprawie odwołania prezydenta stolicy? Pomijając wszystkie polityczne przyczyny, istotnym elementem jest „wszystkowisizm" mieszkańców miasta, którzy nie są z nim emocjonalnie związani. Podobno współczesna Warszawa liczy ponad 1,7 mln mieszkańców. Jednak na co dzień jest ich znacznie więcej. Bytują tu czasowo, żeby zarobić, jako że tylko tu (i w innych dużych ośrodkach) istnieje taka możliwość. Niektórzy z nich to tzw. słoiki, wynajmujący minimalistyczne kanciapy pięć dni w tygodniu, na weekendy wracający do swych prowincjonalnych domostw, by odreagować zapieprz i zaopatrzyć się w przygotowane przez familię wiktuały. Trudno oczekiwać od nich zaangażowania w sprawy miasta, z którym nie łączy ich żadna historia czy tradycja. Na znacznie dłużej zakotwiczyła w Warszawie i rozmnożyła się lemingarnia. Też kompletnie bezideowi, acz przekonani, że formują klasę średnią. Zarobili dobry hajs (nie pytajmy, w jaki sposób) i zakupili apartamenty czy posesje w ekskluzywnych dzielnicach. Dla nich najgorsza perspektywa to jakakolwiek zmiana naruszająca układ intratnych interesów, w jakim funkcjonują. Trzonem tych synekur jest warszawski ratusz oraz puchnąca z każdym miesiącem kasta biurokratów. Trudno nadążyć za narodzinami i pączkowaniem coraz to nowych, nikomu (poza zainteresowanymi) nieprzydatnych instytucji, a także sowicie opłacanych przez miasto „eventów". Za ich symbol mogą uchodzić spacery dendrologiczne organizowane przez zespół firmy Marty Cienkowskiej (obecnej ministry kultury) realizowane z błogosławieństwem prezydenta miasta.

Tęcza na Zbawiksie

To był właściwie symbol mentalnych przeobrażeń w stolicy: w 2012 r. na Placu Zbawiciela pojawiła się „tęcza" ze sztucznych kwiatów, oplatających metalową konstrukcję zainstalowaną na centralnym trawniku wspomnianego placu. Pomijając dalsze dzieje konstrukcji, podpalenia czy przepychanki argumentów za i przeciw instalacji, nie da się ukryć, że była to praca o ideologicznej i zarazem formatującej wymowie. Po spaleniu „tęczy" w listopadzie 2013 r. Julita Wójcik, autorka tejże, napisała w oświadczeniu: „Wspólną pracą przy odbudowie Tęczy

> ZAKOTWICZYŁA W WARSZAWIE I ROZMNOŻYŁA SIĘ LEMINGARNIA, KOMPLETNIE BEZIDEOWA, ACZ PRZEKONANA, ŻE FORMUJE KLASĘ ŚREDNIĄ.

eprasa.pl 14a885cb4b

pokażemy, że jesteśmy przeciw nienawiści i nietolerancji. Że jesteśmy za zapewnieniem równości prawa osobom LGBTQ". Już blisko dekadę wcześniej Warszawa stała się centrum kontaktów osób niebinarnych, których wygląd i zachowanie w rodzimych miejscowościach spotykały się z ostracyzmem. I oto tu, w stolicy, od 2005 r. wszyscy niemieszczący się w heteroseksualnych normach mogli wyrazić/wykrzyczeć swoje potrzeby podczas Parady Równości organizowanej przez powołaną w tym celu Fundację Równości. Pomysłodawcą parad był Szymon Niemiec, były prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek na Rzecz Kultury w Polsce. I się zaczęło. Aż do konfliktów, które w 2024 r. doprowadziły do potrojenia tęczowych marszów (8, 15, 22 czerwca). I tak krok po kroku Warszawa stała się przyczółkiem queer-friendly. Działa tu Stowarzyszenie Queerszawa organizujące spacery po mieście szlakami osób LGBTQ+. Może to jednoczy pewne kręgi kulturowo-seksualne, lecz nie buduje kręgosłupa miasta. I nijak się ma do jego historii.

Kto prosił ukraińskie

To był taki greps rodem z barów mlecznych za PRL-u. Pani serwująca dania rzuca pytanie do grona konsumentów: „Kto prosił ruskie?". Rzecz jasna, chodziło o pierogi. Odpowiedź brzmiała: „Nikt, same przyszli". Od 2022 r. zabrakło tego przysmaku we wszystkich barach i pierogarniach. Zastąpiono je tzw. pierogami ukraińskimi, identycznymi jeśli chodzi o farsz i smak w porównaniu z wyżej wymienionymi. Furda jednak pierogi – ważniejsze, jak bardzo przybysze zza Buga zagnieździli się u nas (zresztą nie tylko w Warszawie, również we wszystkich większych miastach). Oficjalne dane mówią o ok. 2 mln Ukraińców, jednak jest ich o wiele więcej, bez rejestracji. Jakoś nie ma statystyk, które podałyby ich liczbę. W mediach głównego nurtu nie ma o tym ani słowa, ale inne kanały relacjonują prawdziwe dane oraz emocje. Prawda, trudno polubić wszędzie słyszalny język rosyjski, na dźwięk którego mieliśmy (moje pokolenie) alergiczny odruch. Bo Ukraińcy ze Wschodu są rosyjskojęzyczni. Teraz nasi „goście" tak dobrze czują się nad Wisłą, że nie należy spodziewać się, by nas opuścili, choćby doszło do rozejmu ukraińsko-rosyjskiego. To jest – jak napisał ktoś na FB – „nowa kolebka Ukrainy"; to Polska jest nowym zdobytym ukraińskim krajem. A Warszawa – no cóż, daje zatrudnienie albo studia. Co z tego będzie miała? Ukrainizacja to kolejna faza wyniszczania charakteru Warszawy.

Pewnego razu nad Wisłą

Stało się to ponad cztery wieki temu. Po pożarze Wawelu w 1595 r. król Zygmunt III Waza zaryzykował przenosiny stolicy Polski z miasta Kraka do miasta Warsa (i Sawy). Zresztą, to w Warszawie (na polu elekcyjnym w podwarszawskiej Woli) odbyła się wolna elekcja, na mocy której 21-letniego syna króla szwedzkiego Jana III Wazy i polskiej królewny Katarzyny Jagiellonki okrzyknięto królem Rzeczypospolitej, a koronowano wedle tradycji, w katedrze wawelskiej. W owym czasie Warszawa nie miała startu do podwawelskiego grodu, była prowincjonalną dziurą pozbawioną politycznego znaczenia. Liczyła zaledwie 12 tys. mieszkańców, składała się ze Starego Miasta o powierzchni ok. 12 ha i o 2 ha większego Nowego Miasta. Dla porównania Paryż był 400-tysięczną metropolią, Gdańsk gromadził ponad 50 tys. autochtonów. Rdzenną warszawską ludność stanowili mieszczanie, rzemieślnicy i kupcy. Jednak wraz z przenosinami królewskiego dworu wystrzeliła tutejsza petarda. Tempo rozwoju było fenomenalne – zaczęli osiedlać się tu magnateria, szlachta, dostojnicy państwowi oraz zagraniczni dyplomaci i kupcy. Możni wykupywali tereny podmiejskie, budując pałace oraz otaczające je dzielnice i miasteczka wyjęte spod jakiejkolwiek jurysdykcji. Ludność błyskawicznie podwoiła się, a może i potroiła, lecz miasto urbanistycznie stało się chaotyczne i pełne kontrastów.

> DZIAŁA TU STOWARZYSZENIE QUEERSZAWA ORGANIZUJĄCE SPACERY PO MIEŚCIE SZLAKAMI OSÓB LGBTQ+. MOŻE TO JEDNOCZY PEWNE KRĘGI KULTUROWO-SEKSUALNE, LECZ NIE BUDUJE KRĘGOSŁUPA MIASTA.

Paryż Północy

Przeskoczmy kilka stuleci. Po 123 latach zaborów Polska odzyskała niepodległość i Warszawę jako stolicę oraz siedzibę władz państwowych. Dwudziestolecie międzywojenne to okres dynamicznego rozwoju mia-

eprasa.pl 14a885cb4b

sta, wznoszenie nowych budynków i gmachów użyteczności publicznej. Liczba ludności skoczyła z 800 tys. w 1918 r. do 1,300 mln w 1939 r. Pod względem liczby mieszkańców Warszawa stała się siódmą europejską metropolią, wyprzedzając Rzym czy Madryt. Jednocześnie miasto bogaciło się, pięknniało i stawało się wielkim centrum przemysłowym. Nie bez powodu zyskało przydomek Paryża Północy. Tym, któremu marzyła się wielka i światowa Warszawa, był Stefan Starzyński, jej prezydent (od 1934 do 1939 r.). Dynamiczny i odważny, snuł śmiałe wizje dalszego rozwoju stolicy. Planował m.in. budowę metra, nowych dworców i lotniska, a nawet organizację wystawy światowej. Wszystkie te projekty zniweczył wybuch II wojny światowej. Masakra dokonała się jednak dopiero w 1944 r. Choć po kapitulacji Powstania Warszawskiego (2 października 1944 r.) Niemcy zobowiązali się oszczędzić pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne, zwłaszcza obiekty o szczególnej wartości historycznej, kulturalnej lub duchowej, w rzeczywistości nie zamierzali przestrzegać umowy. Tydzień po kapitulacji, 9 października, zapadła decyzja o kompletnym zniszczeniu miasta, uprzednio oczyszczonego z wszelkich wartościowych materiałów i obiektów. Warszawa miała zniknąć z powierzchni ziemi; miał nie pozostać „kamień na kamieniu"; budynki miały być zburzone aż do fundamentów. Zgodnie z tą dyrektywą okupant zniszczył ok. 84–85% zabudowy miasta, w tym wiele zabytków. To wszystko znane fakty, ale pisząc o współczesnej Warszawie, nie sposób do tego się nie odnieść.

Nowi mieszkańcy

Nie tylko mury legły w gruzach – eksterminacji uległa też najbardziej wartościowa część warszawskiej populacji. Inteligencja, twórcy, klasa średnia. Z gruntu pozytywna decyzja o odbudowie stolicy (12 stycznia 1945) zaowocowała powołaniem Biura Odbudowy Stolicy. I tu już zaczął się ideologiczny demontaż w komunistycznym duchu. „Cały naród buduje swoją stolicę" – pod tym hasłem ściągnięto do Warszawy dziesiątki, nawet setki tysięcy obywateli z całej Polski, którzy w czynie społecznym odgruzowywali, a potem wznosili na nowo nadwiślańskie miasto. Przy okazji wyburzono mnóstwo nadających się do odbudowy kamienic i ulic, żeby nadać Warszawie nowy, socjalistyczny sznyt. Najjaskrawszym przykładem – ukończony w 1955 r. Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, wybudowany w ekspresowym tempie trzech lat. Pod jego budowę wyburzono w sercu miasta blisko 180 budynków, które mogły być odbudowane. Najważniejsze – czyje ręce dokonały tej przemiany. To byli ludzie z całego kraju, niektórzy wiedzeni nadzieją na znalezienie pracy, inni kierowani łatwym zyskiem i świadomością, że w takim tumulcie najłatwiej ukryć rozmaite szwindle. W tej sytuacji z trudem przychodzi oddzielić autentyczne zaangażowanie od propagandowej manipulacji. Do tego ściągnięto do Warszawy sprawdzonych komunistów z Kraju Rad, którzy często wykonywali podwójne zadania – „budowniczych" i katów polskiej inteligencji, zwłaszcza akowców. Często byli to ludzie o żydowskich korzeniach, acz bynajmniej nie życzliwi swym rodakom, cudem ocalałym na terenach Polski.

Okupacja 2.0

Będzie teraz osobiście. Babunia, reżyser radiowych słuchowisk, współpracowała ze znakomitymi aktorami, czasami żydowskiego pochodzenia. Ale z domu nie wyniosłam wiedzy/świadomości, kto to Żyd. Dowiedziałam się o tym za sprawą ich samych. Pod koniec liceum to oni postawili granicę między sobą a gojami. Bo to były dzieci zamożnych (jak na tamte czasy) i wpływowych (jak zawsze) partyjnych aparatczyków. Ich przodków nie było tu w czasie wojny; żadne powstanie ani w getcie, ani warszawskie nie przetrzebiło ich rodzin. Bo ich rodziny w dawnych wiekach nie mieszkały nad Wisłą. Pojawili się tu za sprawą radzieckiego rozdania, usuwając (w sposób ostateczny) tych, którzy o stolicę walczyli. Ich potomkowie tu wciąż są. Są także ludzie, którzy z partyjnego rozdawnictwa dostawali mieszkania na „ekskluzywnym" Ursynowie. Oni w życiu nie podpisaliby się na liście opowiadających się za referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego. Im tu jest dobrze, zieleń, ścieżki rowerowe tudzież wysyp knajp dają poczucie bezpieczeństwa. Dlatego w Warszawie referendum nie mogło się udać.

WARSZAWA W XVI W. LICZYŁA ZALEDWIE 12 TYS. MIESZKAŃCÓW, SKŁADAŁA SIĘ ZE STAREGO MIASTA O POWIERZCHNI OK. 12 HA I O 2 HA WIĘKSZEGO NOWEGO MIASTA.

eprasa.pl 14a885cb4b

Warszawa jest inna

24 maja w referendum mieszkańcom Krakowa udało się odwołać prezydenta Aleksandra Miszalskiego. To bardzo duży sukces dla polskiej demokracji bezpośredniej, tym cenniejszy, że odniesiony w chwili, gdy nasza demokracja znalazła się w największym od 1989 roku kryzysie. To, co stało się w Krakowie, **rozpaliło emocje** również w innych miastach. W wielu z nich zaczęto rozmawiać o lokalnych inicjatywach mających na celu odwołanie miejscowych prezydentów. Jak dotąd sprawy najdalej zaszły w Warszawie, jednak nawet pierwszego celu nie udało się osiągnąć. W stolicy referendum nie będzie.

Krzysztof Karnkowski

Stołeczna Operacja Referendalna, zbieranie podpisów w sprawie referendum o odwołanie prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego; Warszawa 31 lipca br.

Fot. Krzysztof Żuczkowski / Forum

Dlaczego w Warszawie niemożliwe okazało się to, co udało się w dawnej stolicy? Odpowiedzi na to pytanie jest kilka i chyba wszystkie są prawdziwe. Nie mamy do czynienia z niemożliwą do rozwiązania zagadką. Ot, inne nastroje społeczne, inne zaangażowanie po stronie zmiany. Gdy Kraków stał

eprasa.pl 14a885cb4b

się na pewien czas miastem buntu, Warszawy nie ruszyła nawet poważna przecież afera związana ze Szpitalem Południowym. Jednak nawet gdyby nastroje w mieście były inne, pozostaje jeszcze druga sprawa – potrzeba kogoś, kto będzie umiał wznieść się na ich fali. Kogoś, kto będzie naturalnym pretendentem, mniej lub bardziej oczywistym następcą lub przynajmniej sensowną alternatywa dla tego, co było. Nie oszukujmy się – Warszawiacy takiej oferty nie dostali. Była determinacja wolontariuszy, był osamotniony organizator. Nie było pospolitego ruszenia, nie było też budującego je i towarzyszącego mu medialnego zrywu. Nie było wreszcie Łukasza Gibały.

GDY KRAKÓW STAŁ SIĘ NA PEWIEN CZAS MIASTEM BUNTU, WARSZAWY NIE RUSZYŁA NAWET POWAŻNA PRZECIEŻ AFERA.

Kraków – miasto buntu

Aby więc zrozumieć, co stało się w Warszawie, popatrzmy najpierw uważniej na krakowski bunt. Odejście Jacka Majchrowskiego po 21 latach rządów otworzyło w Krakowie spór o to, czy zmiana będzie tylko personalna, czy rzeczywiście polityczna. Aleksander Miszalski wygrał w 2024 r. z Łukaszem Gibałą minimalnie – 51,04 do 48,96 proc., różnicą 5434 głosów – ale szybko zaczął tracić kapitał zaufania. Związany z Krakowem dziennikarz Wojciech Mucha, współtworzący lokalny kanał „W Sumie Wiadomo", zwraca uwagę, że w Krakowie od ponad dekady istniała już naturalna przeciwwaga wobec ratusza: środowisko Gibały i Krakowa dla Mieszkańców, wcześniej Logicznej Alternatywy, stale obecne w mieście i konsekwentnie kontestujące najpierw Majchrowskiego, a potem Miszalskiego. To odróżniało Kraków choćby od Warszawy. Do niezadowolenia z kontynuacji starego układu doszły spory o SCT, podwyżki cen biletów i parkowania, zadłużenie, nominacje personalne i styl sprawowania urzędu. 27 stycznia 2026 r. powstał komitet referendalny z Janem Hoffmanem jako jedną z głównych twarzy; akcję wsparły środowisko Gibały oraz partie opozycyjne. Mobilizacja była błyskawiczna: po dwóch tygodniach zebrano już ponad 40 tys. podpisów, a ostatecznie niemal 134 tys. przy wymaganych 58 355. Kampania w ogromnym stopniu żyła w internecie – lokalnych kanałach na YT, już wcześniej bardzo zaangażowanych w nagłaśnianie nadużyć i kolesiostwa w magistracie, mediach społecznościowych, memach i filmach – podtrzymując emocję sprzeciwu wobec władz. Miszalski odpowiedział „wielką korektą": łagodzeniem części najbardziej krytykowanych decyzji, zmianami kadrowymi i próbą odzyskania inicjatywy, a jego zwolennicy postawili na bojkot referendum. Ich przekaz mieszał hejt (w którym celował oczywiście „Sok z Buraka") z elitaryzmem krakowskich ikon kultury, deklarujących stadnie brak zainteresowania referendum. To nie wystarczyło, w według wielu odniosło wręcz odwrotny do zamierzonego skutek. 24 maja zagłosowało 176 228 osób, przy progu 158 555; za odwołaniem prezydenta było 171 581. Rada Miasta ocalała tylko dlatego, że obowiązywał ją wyższy próg frekwencyjny. Jak ujmuje to Mucha, Miszalskiego nie pogrążyła jedna afera, lecz „cały komponent tego złego, co zrobił", wizerunkowe wpadki, decyzje oraz – przede wszystkim – „zawiedzione oczekiwania i niespełnione ambicje Krakowian". Gdy piszę ten tekst, nie znamy jeszcze finału tej historii, niemniej już teraz można powiedzieć, że Kraków zaszedł dużo dalej, niż udało się to Warszawie.

ODEJŚCIE JACKA MAJCHROWSKIEGO PO 21 LATACH RZĄDÓW OTWORZYŁO W KRAKOWIE SPÓR O TO, CZY ZMIANA BĘDZIE TYLKO PERSONALNA.

Moda na referenda

Sukces referendum w Krakowie uruchomił falę podobnych inicjatyw w innych dużych miastach, ale tylko część z nich wyszła poza etap medialnych zapowiedzi. Najdalej zaszła Częstochowa, gdzie komitet zebrał wymaganą liczbę podpisów przeciw lewicowemu prezydentowi Krzysztofowi Matyjaszczykowi i Radzie Miasta, a referendum zostało już formalnie wyznaczone na 25 października

eprasa.pl 14a885cb4b

2026 r. Dodajmy, że Matyjaszczyka wiosną tego roku zatrzymało CBA, sąd jednak nie zatwierdził aresztu, a sam polityk zaprzecza zarzutom przyjmowania korzyści majątkowych. Wciąż trwa akcja w Gliwicach: inicjatywa odwołania Katarzyny Kuczyńskiej-Budki została formalnie zgłoszona 25 sierpnia, a do 23 października organizatorzy muszą zebrać 12 716 prawidłowych podpisów. Osobną drogą idzie Rzeszów, gdzie zamiast zbiórki podpisów przeciwnicy Konrada Fijołka próbują doprowadzić do referendum uchwałą Rady Miasta; wniosek został wprawdzie negatywnie oceniony przez Komisję Rewizyjną, ale decyzja całej rady pozostaje otwarta. Dwie głośne inicjatywy już upadły. W Radomiu zebrano 14 212 podpisów przy wymaganych 15 035 – zabrakło zaledwie 823. To ostatnie nie musi być złą wiadomością, plotki głosiły bowiem, że prezydenta Radosława Witkowskiego bardzo chętnie zastąpiłby inny radomski polityk Platformy, bardziej rozpoznawalny również na szczeblu krajowym – Konrad Frysztak. Ta druga to właśnie Warszawa.

Dlaczego w stolicy nie udało się to, co wypaliło w Krakowie? Powodzenie inicjatywy spod Wawelu niemal natychmiast zaowocowało pomysłem powtórzenia tego scenariusza w Warszawie. Twarzą Stołecznej Operacji Referendalnej został Maciej Wilk, znany wcześniej przede wszystkim z inicjatywy „Tak dla CPK", a więc po pierwsze – działacz bardziej rozpoznawalny w internecie niż poza nim, po drugie – niekojarzony wcześniej z warszawską polityką lokalną. Bezpośrednim impulsem czy raczej punktem wyjścia kampanii była nagłośniona sprawa nieprawidłowości w Szpitalu Południowym, do której odwoływała się również nazwa SOR. Na tym skojarzeniu oparto również identyfikację graficzną i tę stronę projektu należy uznać zdecydowanie za najbardziej udaną. 30 lipca 2026 r. Wilk formalnie zawiadomił ratusz i komisarza wyborczego o zamiarze przeprowadzenia referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego oraz Rady Warszawy i rozpoczął dwumiesięczną zbiórkę podpisów. Do akcji zgłosiło się kilkuset wolontariuszy, powstały punkty w kolejnych dzielnicach, a w połowie września organizatorzy informowali już o przekroczeniu 100 tys. podpisów. Finisz okazał się jednak znacznie słabszy od oczekiwań: do 28 września zebrano 111 tys. podpisów wobec wymaganych około 132 tys. i procedura zakończyła się jeszcze przed etapem ich urzędowej weryfikacji.

W KRAKOWIE OD PONAD DEKADY ISTNIAŁA JUŻ NATURALNA PRZECIWWAGA WOBEC RATUSZA.

W 2013 R. W WARSZAWIE ISTNIAŁO WIĘCEJ ELEMENTÓW PRZYPOMINAJĄCYCH PÓŹNIEJSZY KRAKÓW.

Nie od razu Kraków...

Wojciech Mucha zwraca uwagę, że zasadnicza różnica między Warszawą a Krakowem pojawiła się jednak znacznie wcześniej niż przy liczeniu podpisów. „W Krakowie mamy do czynienia ze środowiskiem polityczno-społecznym, obywatelskim, które od dwunastu lat w zasadzie kontestuje politykę tutejszej władzy: przez lat dziesięć Majchrowskiego, przez dwa lata Miszalskiego. To jest środowisko skupione wokół Łukasza Gibały właśnie i on sam, czyli Kraków dla Mieszkańców". Przez kolejne kampanie Gibała i jego środowisko budowali rozpoznawalność, zaplecze i gotową alternatywę personalną dla ratusza. W Warszawie – argumentuje Mucha – nie było podobnego odpowiednika: polityka obecnego od dekady w samorządzie, dysponującego zespołem i gotowym programem przejęcia miasta. Dlatego jego zdaniem warszawska akcja była „próbą jakiegoś takiego skopiowania emocji z Krakowa, bez jakiejś świadomości tego, czym ta emocja jest". Także punkt wyjścia był inny: w Krakowie odwołanie Miszalskiego wyrastało z kumulacji konfliktów, decyzji władz, wpadek wizerunkowych i – jak ujmuje to Mucha – „zawiedzionych oczekiwań i niespełnionych ambicji Krakowian", podczas gdy w Warszawie jednym z najmocniej eksponowanych impulsów pozostawała afera w Szpitalu Południowym.

Mogło być inaczej

Tu cofnijmy się na chwilę o 13 lat. W 2013 r. w Warszawie istniało

eprasa.pl 14a885cb4b

bowiem znacznie więcej elementów przypominających późniejszy Kraków. Hanna Gronkiewicz-Waltz była w połowie drugiej kadencji i znalazła się w wyraźnym kryzysie wizerunkowym, na który składały się podwyżki cen biletów, cięcia i zmiany w komunikacji miejskiej, chaos wokół nowych opłat za śmieci oraz spory dotyczące oświaty. W tle czaiła się już afera reprywatyzacyjna. Niezadowolenie miało przy tym własnych lokalnych liderów. Główną twarzą referendum został burmistrz Ursynowa Piotr Guział, a inicjatywę prowadziła Warszawska Wspólnota Samorządowa; akcja szybko otrzymała też wsparcie partyjnych struktur, m.in. PiS i Solidarnej Polski. Samo PiS dostarczyło organizatorom niemal 50 tys. podpisów, a łącznie złożono ich ponad 232 tys., znacznie więcej niż wymagane około 134 tys. Równolegle dojrzewało środowisko nowych ruchów miejskich, wówczas skupione jeszcze wokół Jana Śpiewaka. Obóz prezydent postawił na demobilizację własnych wyborców, zwolenników Hanny Gronkiewicz-Waltz do pozostania w domach zachęcali m.in. Donald Tusk i Bronisław Komorowski. Do urn przyszło 343 732 Warszawiaków, czyli 25,66 proc. uprawnionych, podczas gdy dla ważności potrzeba było 389 430 – zabrakło niespełna 46 tys. osób. Wśród uczestników wynik był jednak niemal plebiscytowy: 322 017 osób, 94,86 proc. ważnych głosów, opowiedziało się za odwołaniem Gronkiewicz-Waltz. Referendum przepadło, ale dopiero na ostatnim progu. W odróżnieniu od próby z 2026 r. inicjatorom udało się wcześniej zbudować szeroką koalicję (na poziomie obywatelskim popierana i przez antyplatformerską prawicę, i przez wspierające lokatorów środowiska warszawskich skłotów), zebrać z dużym zapasem podpisy i rzeczywiście doprowadzić mieszkańców do urn.

Samotny Wilk

Wyraźna różnica między Krakowem a Warszawą ujawniła się również w samym przebiegu zbiórki. W Krakowie do inicjatywy dołączyły środowiska Gibały, Ruch Narodowy oraz część PiS; Mucha przypomina choćby Michała Drewnickiego, który „szlifował bruki za podpisami", i ocenia, że Ruch Narodowy dostarczył ich nawet więcej niż PiS. W Warszawie komitet pozostał natomiast w znacznie większym stopniu samotny. „Przedstawiciele Komitetu Referendalnego byli osamotnieni i oczywiście spektakularna była akcja skrzynkowa, ale finalnie przeciwskuteczna, pokazywała pewną już niemoc, że jeżeli już nie możemy dowieźć tych podpisów, no to rzućmy wszystko na jedną szalę i upchajmy listy do skrzynek" – mówi Mucha. Sam Wilk po zakończeniu akcji wskazywał na niewielkie zainteresowanie innych środowisk i zarzucał warszawskiej opozycji bierność. Trzeba zauważyć, że determinacja osób zaangażowanych w zbieranie podpisów, wśród których znaleźć można było również rozpoznawalnych po stronie warszawskich sympatyków opozycji internatów, nie wystarczyła, gdy zabrakło zorganizowanych aliantów. Podpisy zbierane były w nielicznych punktach, czasem bardzo krótko. Zabrakło wreszcie podobnego do krakowskiego zaplecza medialnego. Podczas gdy w Krakowie youtuberzy codziennie nagrywali raporty czy organizowali poważne debaty publicystów i polityków, w Warszawie mieliśmy co najwyżej występy samego Wilka w konserwatywnych mediach. Ostatecznie inicjatywa zatrzymała się więc już na pierwszym formalnym progu: ponad 111 tys. zebranych podpisów pokazało, że hasło „referendum" miało w stolicy znaczące zaplecze społeczne, ale nie wystarczyło do osiągnięcia wymaganych około 132 tys. i doprowadzenia do głosowania. I tak sen o Krakowie w Warszawie się nie wyśnił, a Rafał Trzaskowski wręcz wzmocnił swoją pozycję. Zważywszy na równowagę sił w Koalicji Obywatelskiej, w której Trzaskowski wciąż pozostaje jedynym realnym rywalem Donalda Tuska (echa tego widzieliśmy na Kampusie Polska), czy apetyty Michała Szczerby na warszawski ratusz, można w tej wiadomości upatrywać pewnych pozytywów. I tylko czasu i energii wolontariuszy szkoda.

WYRAŹNA RÓŻNICA MIĘDZY KRAKOWEM A WARSZAWĄ UJAWNIŁA SIĘ RÓWNIEŻ W SAMYM PRZEBIEGU ZBIÓRKI.

INICJATYWA ZATRZYMAŁA SIĘ JUŻ NA PIERWSZYM FORMALNYM PROGU.

eprasa.pl 14a885cb4b

Trzaskowski jest silny słabością opozycji

– Warszawiacy są przyzwyczajeni do tego, że z Białołęki do centrum Warszawy jedzie się godzinę. Nie znają innej rzeczywistości, skoro Platforma rządzi tu tyle dekad. Poza tym koszula bliższa ciału, w Warszawie jest bardzo niskie bezrobocie, wysokie pensje, dobrze działająca i (w miarę) tania komunikacja powodują, że ludzie nie widzą tych większych mankamentów – mówi **Jan Śpiewak** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. Wikipedia

– Czy Warszawa jest Lemingradem – twierdzą nie do zdobycia?

– Nie, Warszawa nie jest Lemingradem nie do zdobycia. Po prostu opozycja jest totalnie słaba. Ponadto środowisko Platformy Obywatelskiej rządzi miastem od 1994 roku, z krótką przerwą na Lecha Kaczyńskiego. Nie ma właściwie żadnych mediów lokalnych: gazet, portali, co samo w sobie jest niesamowite, jak na tak duże miasto. Do tego dochodzi bardzo niekorzystny dla opozycji i bardzo korzystny dla rządzących podział liczenia głosów w okręgach. Tak naprawdę, żeby wejść do rady miasta, trzeba przekroczyć 15%, a to bardzo dużo. Na koniec trzeba dodać postawę Prawa i Sprawiedliwości w Warszawie, które nie włączyło się w tę akcję referendalną i de facto przyjęło postawę kolaborującą względem Rafała Trzaskowskiego i PO.

– Brak zaangażowania PiS aż tak mocno wpłynął negatywnie na losy tego referendum?

– Oczywiście. Jak mogło dojść do tego, że oni nie zbierali podpisów? To podstawowe pytanie. Ale trzeba je rozszerzyć o Wrocław i fiasko zbierania podpisów pod referendum odwołania jeszcze bardziej skompromitowanego niż Rafał Trzaskowski prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka. Tam PiS też nie zaangażowało się w zbieranie podpisów. Póki ta partia będzie myśleć w taki sposób, że nie będzie się angażować w podobne inicjatywy,

eprasa.pl 14a885cb4b

bo urośnie im pod nosem Maciej Wilk czy inny aktywista miejski, to sytuacja będzie wyglądać tak, jak wygląda. Gdzie był Piotr Gliński, gdy zbierano podpisy pod referendum w stolicy? To, że udało się zebrać tyle podpisów przez Wilka, to i tak wielki sukces. W Warszawie PiS ma ponad stu radnych, oprócz tego są posłowie, gdyby każdy z nich przyniósł po 500 podpisów, to wyszłoby ich ponad 50 tysięcy.

– Dało się zebrać podpisy?

– To było absolutnie do zrobienia. W Krakowie referendum kosztowało 2 mln zł, tyle co duże mieszkanie. Dla dużej partii, jaką jest PiS, to żadne pieniądze. Zamiast zrobić „sto Wietnamów" Platformie i zorganizować akcje referendalne w innych miastach, atakować wszędzie prezydentów PO, to działacze PiS wolą nagrywać i wrzucać do internetu rolki, na których narzekają na PO. Dlaczego się tak zachowują? Nie mam pojęcia, ale jest to zastanawiające.

– Trzaskowski od samego początku był absolutnie spokojny, w ogóle referendum się nie przejmował. Był tak pewny siebie, jakby wciąż w uszach dźwięczało mu hasło, że „w Warszawie z PiS wygra nawet deska klozetowa".

– Tak, to jest ta różnica między Krakowem a Warszawą. W Krakowie jest kandydat niezależny, są tam media lokalne, jest ferment. W Warszawie PiS jest bierne, nie zbudowało sobie mediów, nie ma tego ekosystemu, co w Krakowie. Gorzej, główne inwestycje znaczące dla miasta zainicjował Lech Kaczyński: Muzeum Żydów Polskich, Centrum Nauki Kopernik, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, remont Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu, Muzeum Powstania Warszawskiego. Problem w tym, że dzisiaj politycy PiS wstydzą się o tym mówić, nie chcą, boją się konserwatywnej części elektoratu, co jest dla mnie niezrozumiałe. Nie słyszałem też, żeby ktokolwiek z opozycji mówił, jak wygląda śródmieście Warszawy, gdzie są tysiące pustostanów, mury wymazane graffiti. PiS nie chciało nawet początkowo poprzeć zakazu nocnej sprzedaży alkoholu, ile ja się za tym nachodziłem do nich. Przecież afery w Szpitalu Południowym nie zainicjowała opozycja, tylko anonimowy twitterowicz. Z kolei opozycja lewicowa jest w koalicjach dzielnicowych z Platformą. Moim zdaniem PiS nie ma żadnego pomysłu na duże miasta, nie tylko na Warszawę. Innymi słowy Rafał Trzaskowski i w ogóle PO w Warszawie są bardzo silni słabością opozycji. Przecież jest tyle miejsc, w których można krytykować Trzaskowskiego.

RAFAŁ TRZASKOWSKI JAKO PREZYDENT STOLICY ODDAWAŁ ŚREDNIO ROCZNIE TYLKO 40 MIESZKAŃ KOMUNALNYCH. W MIEŚCIE, KTÓRE MA 30 MLD ZŁ BUDŻETU.

– Pierwsze z brzegu?

– Jako prezydent stolicy oddawał średnio rocznie tylko 40 mieszkań komunalnych. W mieście, które ma 30 mld zł budżetu.

– I to mnie dziwi, że ludziom w Warszawie to nie przeszkadza. To wszystko, o czym mówiłeś przez lata: reprywatyzacja, prawa lokatorów, przestrzeń publiczna, mieszkania, deweloperzy, zieleń, smog, transport. Dlaczego ludzie przyzwyczaili się do tego dziadostwa?

– Nikt im nie pokazał, że można inaczej. Oni są przyzwyczajeni do tego, że z Białołęki do centrum Warszawy jedzie się godzinę. Nie znają innej rzeczywistości, skoro Platforma rządzi tu tyle dekad. Poza tym koszula bliższa ciału. W Warszawie jest bardzo niskie bezrobocie, wysokie pensje, dobrze działająca i tania komunikacja powodują, że ludzie nie widzą tych większych mankamentów.

– W którejś z elekcji sejmowych, gdy dziennikarze zauważyli, że PiS-u właściwie nie ma w dużych miastach, poszła fama, że w partii uznali wtedy, że elektorat wielkomiejski to 14% wyborców, którzy i tak na PiS nie zagłosują, więc nie ma co kruszyć o nich kopii.

– No to mają to, co mają, i ciągle narzekają na prezydentów z Platformy Obywatelskiej. Przez to Platforma robi w dużych miastach, co chce, a właściwie bardzo wielu bardzo potrzebnych czy wręcz koniecznych rzeczy dla mieszkańców nie robi, ale jak widać, nie bardzo się tym przejmuje, bo nie ma z kim przegrać. Skoro główna partia opozycyjna zakłada, że i tak przegra, to o czym mówimy.

– Ale czy nie jest tak, że sam Trzaskowski jest idealnym kandydatem dla elektoratu aspirującego? Do Warszawy ściąga elektorat aspirujący, liberalny, mniejszości seksualne. Dla nich Trzaskowski jest symbolem sukcesu i spełnionych marzeń. Dobrze wykształcony człowiek sukcesu, znający języki, obyty w świecie, postępowe poglądy... Trzaskowski realizuje ich marzenia.

eprasa.pl 14a885cb4b

– Dla wielu osób Trzaskowski na pewno jest tym, o czym mówisz. Ale czy taką figurą sukcesu dla aspirującego elektoratu nie był Aleksander Miszalski w Krakowie, który został jednak odwołany w referendum? On był takim Trzaskowskim Krakowa, a jednak udało się go odwołać. Dlatego częściowo jest to odpowiedź na fiasko referendum w Warszawie, ale nie do końca.

– Przez lata inicjowałeś dziesiątki akcji mających usprawnić funkcjonowania miasta czy zwalczać funkcjonujące w nim patologie. Jak Ci się współpracowało z ludźmi? Jacy są Warszawiacy?

– Ja miałem o tyle łatwiej, że kandydowałem na prezydenta Warszawy i miałem 3% poparcia, uzyskując trzeci wynik, byłem więc rozpoznawalny. Inna sprawa, że to pokazuje ogromną polaryzację i wkomponowanie miasta w ogólnokrajowy spór polityczny, gdzie o zwycięstwo walczą kandydat PO z kandydatem PiS. Są tutaj dwie kategorie wyborców, z jednej strony ludzie bojący się PiS i prawicy, którzy zagłosują na każdego, kto nie dopuści kandydata PiS do władzy. Z drugiej strony – wyborcy bardziej prawicowi, którzy najbardziej pragną, by odsunąć w końcu Trzaskowskiego od władzy. W tej logice kandydaci obywatelscy, wywodzący się z ruchów miejskich, nie mieli szans. To zniechęca.

– Ludzie tracą chyba poczucie sprawczości?

– To też, ile akcji przeprowadziłem, chodzi się od drzwi do drzwi, przekonuje, organizuje spotkania, podpisy, a na koniec dnia prezydent, który ma największą władzę, i tak zrobi po swojemu. Weźmy przykład uśmiercania dzików w mieście. Trzaskowski będzie to robił mimo sprzeciwu wielu organizacji ekologicznych i aktywistów miejskich, ale ci ludzie i tak na niego zagłosują, bo do kogo pójdą? Jeżeli kolejny raz staną wobec alternatywy kandydat PiS vs. Trzaskowski, to oddadzą głos na Trzaskowskiego. Podobnie środowiska feministyczne czy gejowskie. Oni nic nie dostali od tego rządu ani miasta Warszawy, ale i tak na nich zagłosują, bo nie mają na kogo.

W KRAKOWIE REFERENDUM KOSZTOWAŁO 2 MLN ZŁ, TYLE CO DUŻE MIESZKANIE. DLA DUŻEJ PARTII, JAKĄ JEST PiS, TO ŻADNE PIENIĄDZE.

– Czyli nie ma partycypacji mieszkańców w zarządzaniu miastem? Nie przeszkadza im to?

– To nie tak, ludzie chcą działać, chcą być aktywni. Ile było protestów w sprawie wspomnianych dzików. Ile osób walczyło o nocną ciszę alkoholową. Walczy w sprawach patodeweloperki. Tylko że rządzących miastem to nie porusza. Jak wspomniałem, PO rządzi tutaj ponad trzy dekady, ratusz jest chyba największym pracodawcą, kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy, do tego zamówienia. To cały system zależności zbudowany i obudowany przez lata.

– W jednym z komentarzy internautów po nieudanym zbieraniu podpisów pod referendum przeczytałem: „Jakby Warszawiacy nie chcieli, by Trzaskowski był prezydentem, to nie wybraliby go dwukrotnie w pierwszej turze, i to z lepszym wynikiem w drugich wyborach”.

– To fakt, Trzaskowski na pewno jest o wiele bardziej popularnym politykiem, niż kiedykolwiek był Sutryk czy Miszalski, ale to nie oznacza, że trzeba się z tym pogodzić i nic nie robić.

– Gdyby teraz ktoś Ci zaproponował taką pracę organiczną od podstaw, by odpartyjnić Warszawę, zgodziłbyś się?

– To bardzo trudne, moje doświadczenie z ostatnich kilkunastu lat nauczyło mnie, że to ogromny wysiłek i trzeba dużego zespołu ludzi, by realnie coś zdziałać.

Jan Śpiewak – socjolog, publicysta, aktywista społeczny, współtwórca Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, przewodniczący Stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa i wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Energia Miast.

Z bólem żegnamy
naszego wieloletniego współpracownika

Waldemara Krysiaka

Rodzinie i przyjaciołom Zmarłego
składamy wyrazy współczucia

koleżanki i koledzy z „Tygodnika Solidarność” i portalu Tysol.pl

eprasa.pl 14a885cb4b

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

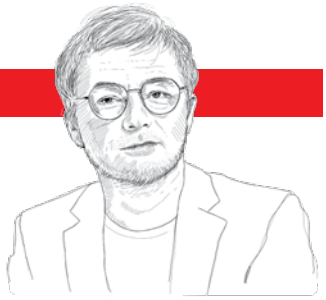

Ślubowanie wobec konia

Jan Wróbel

Profesor Marek Chmaj to prawnik i konstytucjonalista dość jednoznacznie związany z Polską „uśmiechniętą". Nie znaczy to, by jego argumentom w różnych sprawach nie przyglądać się z dobrą wolą. Również z tego powodu, że wypowiedzi pana profesora nieraz cechuje logika prawna i formalna. Po ludzku mówiąc – hipotetycznie, w Polsce odrodzonej po wielkiej smucie polaryzacji, a nuż, widelec dałoby się z Chmajem jakiegoś rodzaju kompromis w sprawie „przywracania praworządności" utkać. Może nawet po prostu w sprawie przywracania praworządności, bez żabek.

Jednak ostatnia z jego konstruktywnych propozycji nie bardzo na to wskazuje:

„Maciej Berek powinien pójść do siedziby prezydenta. To piękne miejsce na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Tam jest pomnik księcia Józefa Poniatowskiego i przed tym pomnikiem, w tych pięknych okolicznościach, mógłby złożyć ślubowanie, a jego pisemną kopię wręczyć ochronie, aby przekazała ją Karolowi Nawrockiemu. Byłby to dowód, że Maciej Berek złożył ślubowanie".

Wyobraźmy to sobie. Roznosi się na mieście, że prezydent urzęduje w pałacu. Zatem Berek, za chwilę sędzia mający na poważnie rozstrzygać poważne sprawy, mknie pod pałac. Prawdopodobnie ochrona nie wpuszcza go na teren pałacowego dziedzińca. Czyli, de facto, kandydat na sędziego stoi na Krakowskim Przedmieściu; z tyłu jeżdżą autobusy, a z boku trzaskają aparaty. Na wszelki zatem wypadek należałoby dać Berkowi megafon, aby wygłaszana przez niego rota ślubowania miała realną szansę dotrzeć do prezydenta. I tak uzbrojony składa ślubowanie, już nie przed kolumną, jak niektórzy koledzy z TK, lecz przed nogą konia księcia Poniatowskiego. A na koniec sędzia prosi ochroniarza, by przekazał liścik, komu trzeba. Bo w Polsce, jak wiadomo, ochrona ma bardzo dużo dodatkowych zadań. (Oby na zakończenie tego minispektaklu nie wystąpił minister z Pałacu Prezydenckiego, mówiąc, że prezydent miał stopery w uszach, zatem żadnego tam ślubowania nie słyszał).

Kabaret...

Jest przecież i druga strona propozycji prof. Chmaja.

Można bowiem zapytać, dlaczego znany konstytucjonalista gotów jest zapłacić cenę śmieszności. Co prawda zapłaci ją Berek, a nie pomysłodawca, ale zawsze kabaretowa scena ślubowania przed koniem kładłaby się cieniem na całej formacji uśmiechniętej praworządności.

Odpowiedź wydaje mi się taka: bo jest już wszystko jedno. Czyją stronę trzymamy w sporach o praktykę wymiaru sprawiedliwości w Polsce, to mało istotne. Bo rzeczywistość naprawiania praworządności jest niepoważna. Konie, kolumny, trybunały, premierzy, prezydenci, sędziowie, komentatorzy tworzą wspólną przestrzeń katastrofy. I nic ani nie zaszkodzi, ani, niestety, nie pomoże. Przesłanie prof. Chmaja zatem nie jest zabawne, lecz przejmująco smutne.

OBY NA ZAKOŃCZENIE NIE WYSTĄPIŁ PREZYDENCKI MINISTER, MÓWIĄC, ŻE PREZYDENT MIAŁ STOPERY W USZACH.

eprasa.pl 14a885cb4b

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Po likwidacji PGR-ów tysiące ich pracowników zostały bez pracy i realnej pomocy państwa. Na przełomie lat 90. i 2000. w dawnych pegeerowskich osiedlach narastały bieda, bezrobocie i poczucie całkowitego porzucenia. Maciej Piotrowski odwiedził ludzi, którzy po latach pracy zostali pozostawieni sami sobie – i opisał rzeczywistość jednej z najbardziej zapomnianych grup społecznych III RP. Artykuł ukazał się w **nr. 10 (599) „Tygodnika Solidarność” z 10 marca 2000 roku**. Przypominamy ten tekst z okazji 45-lecia naszego pisma.

Ludzie za burtą, czyli krajobraz po PGR-ach

Maciej Piotrowski

W ciągu roku na walkę z bezrobociem wydajemy ponad 5 mld złotych, czyli ponad miliard dolarów. Trzy czwarte tej sumy idzie na zasiłki i zapomogi. Inaczej mówiąc, jest po prostu przejadana.

– Żeby tylko robota była – rozkłada sękate dłonie Jan Pietruszkiewicz – to ja bym dniem i nocą robił. Siłę mam, zdrowie mam. A tak co – wegetacja.

Janina i Jan Pietruszkiewiczowie mają trójkę dzieci w wieku szkolnym: Justynę, Renatę i najmłodszego Wojtka. Przez ostatnie trzy miesiące cała rodzina żyła za 200 zł miesięcznie: 90 zł z pomocy społecznej i 110 zł z zasiłku rodzinnego. Za samo światło płacą 80–90 zł, a jeszcze opłata za wodę, podatek gruntowy raz na kwartał.

– Latem brałam dzieci – wspomina Janina Pietruszkiewicz – i jechaliśmy do lasu. Przez dzień zebrało się wiadro jagód, kosz grzybów. 20 złotych dziennie można było zarobić. Ale co te dzieci winne – ociera oczy – że męża po 18 latach pracy w PGR tak jakby wyrzucili na śmietnik?

Póki była gmina w Sejnach, Jan Pietruszkiewicz mógł liczyć na prace interwencyjne. Naprawy dróg, remonty domów. Po paru miesiącach takiej pracy nabywał prawo do „kuroniówki”, a potem znowu szedł na „interwencje”. Parę lat trwała taka prowizorka. Ale w tym roku, gdy Sejny zostały powiatem, już wiadomo, że robót interwencyjnych nie będzie. Województwo cofnęło fundusze.

– Gdyby nie te króliki – załamuje ręce Janina Pietruszkiewicz – chyba byśmy pomarli z głodu.

Królików zostało jeszcze trzydzieści parę sztuk.

Gdy mąż trzeźwieje

Sąsiedni blok, pierwsze piętro. Anna Greblunas, po 30 latach pracy w PGR, ma prawo do emerytury. Razem z zasiłkiem rodzinnym na dwoje dzieci dostaje 500 zł miesięcznie. I to już musi wystarczyć na wszystko: na jedzenie, światło, opał, podręczniki dla dzieci i nawet na lekarstwa dla męża. Eugeniusz Greblunas pracował ostatnio na prywatnej budowie. Uszkodził sobie kręgosłup, ale renty doprosić się nie może.

PGR Sejny, w którym oboje z żoną przepracowali tyle lat, to był kombinat, co się zowie: 1700 hektarów ziemi, 240 pracowników, 6 samodzielnych folwarków. Tu, w Sztabinkach, Greblunasowie prowadzili oborę, 45 mlecznych krów. Sami odpowiadali za dowóz paszy, udój, cielaki. Nie było lekko, ale dzielili się pracą: kto w oborze, kto w domu przy dzieciach. I pieniędzy jakoś starczało na wszystko. Dziś nie stać ich nawet na węgiel: ostatnie pół tony kupili za pożyczone pieniądze.

Jeszcze jedno mieszkanie. Aniela Wiślańska zaprasza do drugiego pokoju: w pierwszym śpi mąż. Niewysoka, szczupła, od paru lat Aniela Wiślańska jest istnym kłębkiem nerwów. Gdyby nie lekarstwa, które przyjmuje od roku,

eprasa.pl 14a885cb4b

całkiem by się roztrzęsła. Mąż, Stefan, pracował w PGR jako traktorzysta, pod koniec nawet jako księgowy. Od paru lat prawie nie wychodzi z domu, ostatnie pieniądze szły na wódkę. Dwaj synowie, 19 i 17 lat, jeszcze wymagają opieki. A matka, ciężko chora, co parę dni dzwoni spod Wołomina i prosi o pomoc.

– Przyjeżdżaj – płacze do słuchawki – jest praca w masarni na trzy zmiany. Zarobisz i jeszcze rodzinę odżywisz.

Aniela Wiślańska nie przyjedzie. Od lutego dostała pracę jako opiekunka społeczna. Jeszcze nie dostała wynagrodzenia, ale oczekuje, że będzie tego jakieś 450 zł na rękę. Może wystarczy na spłacenie najpilniejszych długów. Ale czy nie za dużo tych trosk na jedną głowę?

Z sąsiedniego pokoju rozlegają się jakieś pomruki.

– O, już się budzą te zwłoki – mówi Aniela Wiślańska. – Lepiej niech pan już idzie. Gdy mąż trzeźwieje, potrafi nawet uderzyć. On waży 150 kilo.

Wychodzę przed budynek. W kilku betonowych klockach, malowniczo rozrzuconych na stoku pagórka, wciąż jeszcze mieszka ponad 20 rodzin. Od strony szosy nawet ładnie to wygląda. Z bliska widać rozsypujące się kominy, szerokie na palec szpary w ścianach, pourywane rynny. Czysty przypadek, że zapukałem akurat do tych drzwi, że poznałem akurat te rodziny. Zamiast do Sztabinek, równie dobrze mogłem trafić do Klejwy, do Jenorajścia czy do Burbiszek, gdzie nie ma nawet bloków, a ludzie mieszkają w zapleśniałych barakach bez fundamentów. Ludzie za burtą. W całej Polsce żyje w podobnych warunkach ponad 100 tys. byłych pracowników PGR. Ilu dokładnie – chyba nikt nie wie.

Pożyczki nie będzie

Powiatowy Urząd Pracy w Sejnach nie prowadzi oddzielnej statystyki bezrobotnych „odziedziczonych" po byłym PGR Sejny. Tak samo jest w Suwałkach, gdzie niemal w każdej gminie znajdował się duży PGR-owski kombinat. Podobnie w Olecku, Giżycku, Kętrzynie. To w tych powiatach bezrobocie bije wszelkie krajowe rekordy. Jeśli nie wiadomo, jakie są rzeczywiste rozmiary zjawiska, czy można skutecznie z nim walczyć?

Suwałki, byłe miasto wojewódzkie, są dziesięć razy większe od Sejn i mają dziesięć razy większe problemy

MIESZKAJĄ W ZAPLEŚNIAŁYCH BARAKACH BEZ FUNDAMENTÓW. LUDZIE ZA BURTĄ. W CAŁEJ POLSCE ŻYJE W PODOBNYCH WARUNKACH PONAD 100 TYS. BYŁYCH PRACOWNIKÓW PGR.

eprasa.pl 14a885cb4b

z bezrobotnymi. Na koniec ubiegłego roku liczba zarejestrowanych bezrobotnych wynosiła w Suwałkach ponad 6 tysięcy i była o prawie tysiąc osób wyższa niż rok wcześniej. Najwięcej bezrobotnych było w gminach Suwałki, Filipów i Raczki – razem ponad tysiąc osób. Bez wątpienia – z powodu istniejących tam kiedyś PGR-ów. Wśród ponad 6 tysięcy zarejestrowanych zaledwie nieco ponad tysiąc osób (17 proc.) ma prawo do zasiłku. Odsetek osób pobierających zasiłek systematycznie maleje. Co z resztą? Walczą o przetrwanie, zapewne w podobny sposób jak bezrobotni ze Sztabinek. Przeraża skala tego zjawiska, nawet na terenie Suwałk, gdzie stopa bezrobocia jest stosunkowo niska i wynosi 12 proc. ludności czynnej zawodowo. To właśnie dzięki temu Suwałki utraciły w ubiegłym roku status regionu zagrożonego strukturalnym bezrobociem.

NAJWIĘCEJ BEZROBOTNYCH BYŁO W GMINACH SUWAŁKI, FILIPÓW I RACZKI – RAZEM PONAD TYSIĄC OSÓB. BEZ WĄTPIENIA – Z POWODU ISTNIEJĄCYCH TAM KIEDYŚ PGR-ów.

W Olecku, Giżycku, Kętrzynie jest znacznie gorzej. Na terenie całego województwa warmińsko-mazurskiego prawie jedna czwarta (dokładnie 23,7 proc.) czynnej zawodowo ludności nie ma pracy. Przybywa bezrobotnych, ale jednocześnie ubywa pieniędzy na aktywne formy walki z tym zjawiskiem. Na przykład w Suwałkach budżet Powiatowego Urzędu Pracy przeznaczony na te cele wynosił w 1999 ponad 5,5 mln zł (z uwzględnieniem 1,3 mln zł przeznaczonych na pożyczki udzielane na rozpoczęcie działalności gospodarczej). W tym roku limit środków przeznaczonych na ten sam cel został w Suwałkach zmniejszony ponad trzykrotnie: do ok. półtora miliona złotych.

– Pożyczki na rozpoczęcie działalności gospodarczej – wyjaśnia Grażyna Chomicz – będą wypłacane tylko w takiej wysokości, jak będzie to wynikać ze spłaty kredytów zaciągniętych w ubiegłych latach. Oczywiście, pożyczki te mogą być częściowo umarzane – nawet do 50 procent. Oznacza to, że w ciągu krótkiego czasu limit środków, które będzie można przeznaczyć na pożyczki, nieuchronnie będzie spadał do zera.

W 1999 roku Powiatowy Urząd Pracy w Suwałkach zorganizował 79 szkoleń i kursów, w których wzięło udział 748 bezrobotnych, w tym 450 kobiet. Największym powodzeniem cieszyły się kursy dla kierowców i operatorów maszyn budowlanych, obsługi komputerów, dla pracowników gastronomii, agentów ochrony mienia, glazurników, murarzy i stolarzy. Za pośrednictwem Wojewódzkiego Urzędu Pracy, mającego swój oddział w Suwałkach, wyjechało do sezonowej pracy w Niemczech 214 bezrobotnych. Warunkiem wyjazdu była znajomość języka potwierdzona przez lektora lub wykładowcę wyższej uczelni.

– W ubiegłym roku – mówi Grażyna Chomicz z PUP w Suwałkach – wydaliśmy ponad 400 tys. zł na programy specjalne, takie jak „Kobiety”, „Równe szanse”, „Praca dla dwojga”, „Młodzież”, „Mieszkańcy wsi”. W ramach tych programów znalazło zatrudnienie ponad 100 osób, w tym 42 kobiety. Zainteresowanie tymi programami jest bardzo duże: już teraz, na początku roku, mam w teczce 50 wniosków oraz 10 niezrealizowanych z roku ubiegłego. I już teraz wiadomo, że środki na te programy zostały drastycznie obcięte. Pieniędzy jest tak mało, że wystarczy ich na załatwienie nie więcej niż dwu wniosków miesięcznie. Ale nikt mi nie wyjaśnił, jakie ja mam w tej sytuacji przyjąć kryteria rozpatrywania tych wniosków? Kogo przyjąć, kogo odrzucić?

W LATACH 70., W SZCZYTOWYM OKRESIE ROZWOJU, PGR-y GOSPODAROWAŁY NA PRAWIE MILIONIE HEKTARÓW I ZATRUDNIAŁY OK. 400 TYS. LUDZI.

To jasne: nie ma po co wracać do Sztabinek z takimi wiadomościami. Jan Pietruszkiewicz mógłby pójść na kurs pilarzy i znaleźć pracę w każdym nadleśnictwie. Nie pójdzie, bo nie dostanie tysiąca złotych pożyczki na zakup piły. Eugeniusz Greblunas mógłby pojechać do Niemiec do pracy w ogrodnictwie. Nie pojedzie, bo nikt nie nauczy go nawet kilku podstawowych zwrotów w języku niemieckim. Aniela Wiślańska mogłaby skończyć kurs dla sióstr pogotowia PCK w zakresie opieki nad chorymi w domu. Nie ukończy, ponieważ w żaden sposób nie dojedzie do Suwałk i wróci do domu w ciągu jednego dnia.

eprasa.pl 14a885cb4b

Na bocznym torze

W latach 70., w szczytowym okresie rozwoju, PGR-y gospodarowały na prawie milionie hektarów i zatrudniały ok. 400 tys. ludzi. Na początku lat 90., gdy majątek byłych PGR-ów przechodził pod zarząd Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, wciąż jeszcze pracowało w nich 250 tys. osób. Z zagospodarowaniem ziemi uporano się dość szybko: sprzedawana i wydzierżawiana na dogodnych warunkach, w ciągu kilku lat znalazła nowych właścicieli. Szczególnie tu, na Suwalszczyźnie, gdzie zawsze dawał się odczuć głód ziemi. Z zagospodarowaniem ludzi do dziś nie potrafiły sobie poradzić kolejne rządy, kolejne koalicje.

Gdy likwidowano PGR-y, ich pracownicy otrzymywali kilkutysięczne odprawy, umożliwiano im także wykupienie na własność budynków, w których mieszkali. I to wszystko: odtąd mieli już troszczyć się sami o siebie. W ten sposób doszło do powstania najbardziej upośledzonej grupy społecznej w III Rzeczypospolitej. Niektórzy twierdzą, że tragedia mieszkańców tych osiedli polega na ich osamotnieniu, oddaleniu od ośrodków administracyjnych i kulturalnych. Nie ma tam szkół i przedszkoli – ponieważ jest za mało dzieci. Nie ma ośrodków zdrowia – ponieważ lekarze generalnie uciekają ze wsi do miast. Zamiast normalnych sklepów są kioski handlujące głównie chlebem i najtańszym winem. Do położonych na uboczu osiedli nie docierają żadne autobusy – pozostaje rower lub własne nogi.

Dlaczego pracownicy byłych PGR-ów nie otrzymywali, tak jak przedstawiciele innych grup zawodowych, 15 procent udziałów prywatyzowanych przedsiębiorstw? Ponieważ nie przewidywała tego ustawa o Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Zasadniczym celem tej ustawy była szybka i radykalna likwidacja PGR-ów wraz z całym ich kontekstem społeczno-politycznym.

Jeśli żadna znacząca siła nie jest zainteresowana taką nowelizacją ustawy o Agencji, która by uwzględniała interesy pracowników byłych PGR-ów, co można zrobić dla poprawy ich sytuacji? W pierwszej kolejności – należałoby dać im możliwość wyrażania swoich potrzeb i postulatów. Tragedią tych ludzi jest przecież fakt ich rozrzucenia małymi grupami po całym kraju, brak wzajemnych kontaktów, ba, nawet brak świadomości, że jest ich tak dużo.

> DLACZEGO PRACOWNICY BYŁYCH PGR-ów NIE OTRZYMYWALI, TAK JAK PRZEDSTAWICIELE INNYCH GRUP ZAWODOWYCH, 15 PROCENT UDZIAŁÓW PRYWATYZOWANYCH PRZEDSIĘBIORSTW?

– Gdy likwidowano nasz PGR – opowiada Jolanta Herbich, z zawodu zootechnik, aktualnie bezrobotna z Łękuka w gminie Wydminy – oszukano nas przy sprzedaży mieszkań: musieliśmy za nie płacić po raz drugi. Bo przecież całe osiedle zostało wybudowane z naszego funduszu mieszkaniowego, na który pieniądze potrącano nam z zarobków przez długie lata. W Gawliku Małym pan Czarnicki został sam z piątką dzieci, żona zmarła przy porodzie. U nich tragedia – żyją tylko z zasiłku rodzinnego. A w Zudraskach jest rodzina Gronków. Dziewięcioro dzieci, a od stycznia gmina nie ma pieniędzy nawet na zasiłki z pomocy społecznej.

– Znam te sprawy – przerywam Jolancie Herbich. Byłem przecież w Sztabinkach. S

ZŁUDZENIA MICHALSKI

eprasa.pl 14a885cb4b

MUSIMY ODRZUCIĆ polityki klimatyczne

Wraz z powrotem do pracy po sezonie urlopowym weszliśmy w czas agresywnej „prekampanii" parlamentarnej. Warto już na początku przygotowań do wyborów wyjaśnić, jakich postaw w dziedzinie energetyki wyborcy powinni oczekiwać od polskich patriotów i mężów stanu. Ponieważ w obszarze tym jest niesłychanie dużo zakłamań i przeinaczeń, postanowiłem **zebrać w punktach to, pod czym każdy polski polityk powinien się podpisać**.

Szczepan Ruman

Fot. Adobe Stock

Zachęcam wyborców, aby od swoich lokalnych kandydatów na posłów i senatorów uzyskiwali jasne opowiedzenie się w kwestii tej deklaracji: jej podpisanie lub odrzucenie. Od realizacji tej deklaracji zależy bowiem nasza przyszłość. Przyzwyczailiśmy się w Polsce do dynamicznego rozwoju gospodarczego i szybko rosnącego poziomu życia. Jednak polityki klimatyczne i wysokie ceny energii mogą zabić polski cud gospodarczy szybciej, niż nam się wydaje. Kto nie wierzy – niech spojrzy, jak Komisja Europejska w kilka lat zmiażdżyła niemiecki przemysł motoryzacyjny oraz jaką pozycję ma Europa względem USA i Chin w kluczowej, bardzo energochłonnej technologii przyszłości: sztucznej inteligencji (superinteligencji). Nie ma czasu do stracenia: musimy odrzucić polityki klimatyczne i stanąć do nowego globalnego wyścigu technologicznego natychmiast.

Deklaracja energetyczna polskiego patrioty

1. „Transformacja energetyczna" to pojęcie ideologiczne, niemające ekonomicznego uzasadnienia. Naturalne zmiany następują cały czas w każdym sektorze, natomiast administracyjnie wymuszana „zielona transformacja" jest działaniem niezwykle kosztownym, bez żadnej użyteczności społecznej. Pojęcie „transformacji energetycznej" powinno całkowicie przestać być stosowane w debacie publicznej.

2. Metoda przyjęta przez administrację UE w zakresie polityk

eprasa.pl 14a885cb4b

klimatycznych, polegająca na podwyższaniu cen energii poprzez parapodatek ETS i próby wymuszeń zmian gospodarczych poprzez urzędnicze nakazy, takie jak planowany zakaz samochodów spalinowych od 2035 roku – jest metodą błędną i całkowicie nieskuteczną. Te działania Komisji Europejskiej są antyrozwojowe i doprowadziły do katastrofy gospodarczej naszego kontynentu, w tym do zniszczenia przemysłu motoryzacyjnego, który był dumą i kołem zamachowym europejskiej gospodarki. Taki sposób działania – administracyjne próby wymuszania głębokich zmian całych wartościowych branż przemysłu – powinien przestać być stosowany jako szkodliwy i przeciwskuteczny.

3. Odrzucenie urzędniczych wymuszeń dotyczyć musi przede wszystkim rozwiązań takich jak tzw. normy Best Available Technologies, uniemożliwiające budowę elektrowni węglowych, limity emisji CO_2 na MWh wyprodukowanej energii, zapisy uniemożliwiające finansowanie projektów węglowych, w tym zapisy w statutach polskich banków oraz samego paraporatku ETS jako najbardziej szkodliwej i antyrozwojowej regulacji istniejącej obecnie na świecie.

4. Góry euro wydane przez UE na „zieloną transformację" nie przynoszą postępu technologicznego ani rozwoju ekonomicznego. Inne gospodarki, w szczególności USA i Chiny, stają się w międzyczasie liderami nowych technologii takich jak sztuczna inteligencja – bazując na paliwach kopalnych. UE pozostaje w tyle, nie stając nawet do tego wyścigu. Gospodarki UE powinny skupić się na innowacyjności technologicznej, a całkowicie odrzucić jakiekolwiek cele klimatyczne.

5. Polityki klimatyczne UE mają efekt zbliżony do zera, jeśli chodzi o ich wpływ na globalne emisje CO_2. Podczas gdy UE staje się skansenem i przemysłową pustynią w wyniku polityk klimatycznych – Chiny czy USA mogą w nadchodzących dekadach osiągnąć naturalną i niewymuszoną „dekarbonizację" przez ambitny rozwój gospodarczy, na przykład opanowanie technologii fuzji jądrowej, wsparte pozyskiwaniem Helu-3 z księżyca. Racjonalnym postępowaniem jest całkowite przekierowanie strumienia pieniędzy z polityk klimatycznych na rozwój gospodarczy i technologiczny, podnoszenie poziomu życia społeczeństw oraz odporność na kryzysy, w tym również na ekstremalne zjawiska pogodowe.

6. W dobie konieczności finansowania przez Polskę wydatków zbrojeniowych oraz cennych programów społecznych, takich jak wyrównujący dyskryminację podatkową rodzin program 800+, państwa polskiego nie stać na wydatki na „zieloną transformację". Planowane i wielokrotnie ogłaszane wydatkowanie „biliona złotych na zieloną transformację w ciągu najbliższych 10 lat" (25% PKB) musi zostać powstrzymane. Polski nie stać na te zbędne i bezsensowne wydatki.

7. Kosztowne programy dotacji, subwencji, preferencji w energetyce – skutkują transferem pieniędzy od ogółu podatników i płacących rachunki za prąd, do wąskich grup osób i instytucji korzystających z tych programów. Jest to społecznie szkodliwe i niepożądane. Należy w każdy możliwy sposób działać na rzecz jak najszybszej i całkowitej likwidacji programów wydatków i preferencji związanych z „zieloną transformacją", w tym w szczególności dopłat do magazynów energii. Jak najszybsza likwidacja tych programów służyć będzie zmniejszeniu deficytu budżetowego państwa polskiego, przy jednoczesnym zachowaniu cennych programów społecznych oraz możliwości finansowania armii i zbrojeń.

8. Technologie morskiej energetyki wiatrowej nie mogą stanowić rozwiązania obecnego kryzysu w polskiej energetyce, ponieważ ich budowa zajmuje wiele lat, zlokalizowane są kilkaset kilometrów od głównych centrów zużycia energii, a ich niestabilność dostaw energii wymaga istnienia innych, stabilnych źródeł bilansujących. Jednocześnie morska energetyka wiatrowa jest najdroższą formą energii dla Polski i jako taka nie powinna w ogóle być rozwijana.

9. Technologie jądrowe nie mogą stanowić rozwiązania obecnego kryzysu energetycznego, ponieważ ostatnie budowy nowych bloków jądrowych w Europie zajęły po ok. 18 lat każda, w związku z tym oczekiwanie, że jakiś reaktor jądrowy – duży lub SMR – będzie w Polsce podłączony do sieci szybciej niż za 10 lat (w 2036 roku) jest pozbawione jakichkolwiek racjonalnych podstaw. Energia z reaktorów jądrowych – kiedy już się pojawi – będzie w pierwszym okresie znacząco (lub nawet wielokrotnie) droższa od energii z węgla. Rządowy program jądrowy, realizowany w spółce należącej w 100% do obywateli (Skarbu Państwa), jest wart kontynuowania, gdyż pozwoli Polsce dołączyć do elitarnego grona państw posiadających energetykę jądrową. Wspieranie pieniędzmi podatników inwestycji jądrowych innych niż elektrownia jądrowa w Choczewie (w tym

> Musimy odrzucić polityki klimatyczne i **stanąć do nowego globalnego wyścigu** technologicznego natychmiast.

eprasa.pl 14a885cb4b

SMR) nie ma żadnego uzasadnienia społecznego ani ekonomicznego.

10. Rozważane lub planowane obecnie kontrakty różnicowe, które miałyby być przyznane prywatnym inwestorom w Morską Energetykę Wiatrową (MEW) lub reaktory SMR, opiewają na ponad trzy biliony złotych gwarancji z kieszeni podatników dla „inwestorów" (75% PKB). Stosowanie kontraktów różnicowych w energetyce musi zostać zakazane, gdyż są one instrumentem wadliwym i niezwykle kosztownym. W trosce o stabilność finansową państwa dla przyszłych pokoleń Polaków kontrakty różnicowe dla MEW i SMR nie mogą zostać udzielone.

11. Węgiel brunatny i kamienny stanowi 95% zasobów surowców energetycznych Unii Europejskiej, a gaz ziemny i ropa naftowa stanowią razem mniej niż 5% surowców energetycznych zlokalizowanych w UE. Zasoby energetyczne UE są wielokrotnie mniejsze niż zasoby USA, Rosji czy Chin, a te 5% z tych zasobów, które stanowi gaz ziemny i ropa naftowa – są dalece niewystarczające, żeby zaspokoić potrzeby Europy. Aby Unia Europejska była „suwerenna energetycznie" – musi wykorzystywać swój węgiel brunatny i kamienny, a odejście od węgla powoduje trwałe uzależnienie się UE od importu: ropy, gazu, baterii do magazynów bateryjnych, paneli do farm fotowoltaicznych i komponentów do wiatraków.

12. Ponad 50% zasobów węgla brunatnego i kamiennego całej UE znajduje się w Polsce. W Unii dopuszczającej używanie węgla Polska byłaby naturalną regionalną potęgą energetyczną, eksporterem taniej energii i surowców energetycznych do innych krajów. Projekt odejścia od węgla na rzecz gazu ziemnego jako „paliwa przejściowego" był projektem geopolitycznym, który miał wypromować współpracę z Rosją, dostarczającą gaz ziemny, którego UE brakuje, kosztem zablokowania naturalnej pozycji Polski jako regionalnej potęgi energetycznej opartej na węglu. Należy całkowicie zatrzymać proces zastępowania w Polsce elektrowni i elektrociepłowni węglowych gazowymi.

13. Na surowcach importowanych nie można oprzeć przewagi konkurencyjnej nad innymi regionami globu. UE nie może taniej od USA produkować energii z pochodzącego z USA gazu z łupków ani też taniej niż Chiny produkować energii z pochodzących z Chin paneli fotowoltaicznych i turbin wiatrowych. Najtańszym źródłem energii w UE jest węgiel brunatny i to na węglu brunatnym UE mogłaby oprzeć konkurencję z USA i Chinami w zakresie nowych, energochłonnych technologii, takich jak sztuczna inteligencja. Jednocześnie UE, w tym Polska, już obecnie ma znacznie więcej OZE niż Chiny lub USA, biorąc pod uwagę wielkość każdego z krajów i ich rynków energetycznych. Dalsze zwiększanie ilości OZE w Polsce prowadzi do strat finansowych i wzrostu kosztów energii ponoszonych przez społeczeństwo.

> Gospodarki UE powinny skupić się na **innowacyjności** technologicznej, a całkowicie odrzucić jakiekolwiek cele klimatyczne.

14. Dla utrzymania rozwoju gospodarczego Polska krytycznie potrzebuje taniej energii tu i teraz, a nie za 10 czy 15 lat. Jednocześnie rozwój gospodarczy, elektryfikacja, sztuczna inteligencja – wymagają nadwyżek produkcji energii dziś oraz dalszego szybkiego wzrostu ilości produkowanej energii w kolejnych latach. Nadwyżki taniej energii można obecnie w Polsce zapewnić tylko z istniejących bloków węglowych pod warunkiem odrzucenia krępujących polską energetykę polityk klimatycznych. Mówienie w Polsce o jakichkolwiek innych źródłach niż węglowych w kontekście szybkiej elektryfikacji i postępu technologicznego – jest oszukiwaniem Polaków.

15. Polscy politycy muszą działać na rzecz jak najszybszego otwarcia nowych złóż węgla brunatnego i budowy nowych elektrowni na węgiel brunatny, a przy tych elektrowniach centrów danych dla sztucznej inteligencji, otwarcia nowych kopalń węgla kamiennego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym oraz analizy możliwości otwarcia nowoczesnych, wielkoskalowych kopalń węgla kamiennego w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym. Jednoczesnym priorytetem dla polskich polityków w dziedzinie energetyki powinna być budowa co najmniej sześciu nowych bloków węglowych klasy Kozienice B11 (1075 MWe), przed wycofaniem z użytku starych bloków typu 200 MWe. Żadne źródła węglowe nie mogą być wycofywane z sieci przed budową nowych bloków węglowych co najmniej tej samej mocy co wycofywane.

***

I tu jest „miejsce na podpis". Niech każdy polityk mówiący dziś o potrzebie zmian w europejskich regulacjach klimatycznych, elektryfikacji, stanięciu do wyścigu w zakresie sztucznej inteligencji, utrzymaniu polityk społecznych i wydatków zbrojeniowych pomimo trudnej sytuacji budżetu – ma możliwość nadania tym ogólnym hasłom bardzo konkretnego kształtu, określonego w powyższych 15 punktach.

eprasa.pl 14a885cb4b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Brzoska na wojnie ze scamem

Jeszcze kilka lat temu internetowe oszustwo kojarzyło się z korespondencją napisaną łamaną polszczyzną, egzotycznym spadkiem i obietnicą milionów dolarów czekających na człowieka, który zechce tylko podać numer rachunku bankowego. Dzisiaj coraz trudniej odróżnić je od prawdy. Wojnę w tej sprawie największym koncernom wytoczył twórca InPostu Rafał Brzoska. I warto mu kibicować.

Współczesny scam (oszustwo) ma twarz znanego polityka, celebryty albo osoby powszechnie znanej. Ma profesjonalną grafikę, logo znanej instytucji, spreparowany materiał telewizyjny, a coraz częściej również głos i ruchome usta człowieka, który nigdy nie wypowiedział tego, co słyszymy. Potem wystarczy reklama w serwisie społecznościowym, kilkadziesiąt sekund nieuwagi i obietnica wyjątkowej inwestycji. Za nią najczęściej kryje się mechanizm prowadzący nie do wymarzonego bogactwa, ale do utraty realnych pieniędzy.

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy tej historii stał się przedsiębiorca Rafał Brzoska, którego wizerunek wykorzystywano w fałszywych reklamach inwestycyjnych, ale i w materiałach deepfake. Brzoska postanowił uderzyć pięścią w stół i zaczął traktować problem nie tylko jako naruszenie własnych dóbr, lecz jako sprawę dotyczącą odpowiedzialności platform za treści reklamowe, na których zarabiają. Problem jest bowiem masowy, a zyski koncernów – ogromne. Według informacji rządowych CERT Polska tylko w samym 2025 r. obsłużył 260 tys. zgłoszeń incydentów i umieścił 250 tys. szkodliwych domen na Liście Ostrzeżeń.

Właśnie dlatego walka Rafała Brzoski jest tak interesująca. Przeciętny człowiek, któremu zabrano oszczędności, nie ma zaplecza prezesa dużej międzynarodowej firmy. W efekcie nie będzie przez lata prowadził sporu z jednym z największych koncernów technologicznych świata. Jeżeli więc ktoś dysponujący odpowiednimi zasobami postanawia sprawdzić przed sądami, gdzie kończy się odpowiedzialność oszusta, a zaczyna odpowiedzialność platformy zarabiającej na emisji jego reklamy, wynik takiego sporu może mieć znaczenie daleko wykraczające poza ochronę wizerunku jednej osoby.

Zwłaszcza w sytuacji, gdy przedsiębiorstwo buduje system reklamowy, pobiera pieniądze za emisję reklamy, analizuje jej odbiorców i posiada rozbudowaną infrastrukturę pozwalającą ją dystrybuować. Wówczas pytania o zakres odpowiedzialności stają się znacznie poważniejsze. Podobnie jak te dotyczące reakcji państwa.

Teoretycznie CERT blokuje domeny, a platformy deklarują walkę z oszustwami. Jednak człowiek otwiera serwis społecznościowy i widzi zalew oszustw. Dlatego determinacja Rafała Brzoski ma tak duże znaczenie. Dzięki niemu coś się zaczęło zmieniać, i to na wielu różnych poziomach.

eprasa.pl 14a885cb4b

LEKCJA ANATOMII PROFESORA PINGWINA

Afera aferę aferą pogania

Zanim zaczniesz czytać ten tekst, zatrzymaj się na chwilę i pomyśl: jaka jest najnowsza afera tego rządu, o której słyszałeś? 5... 4... 3... 2... 1... Już?

Psia afera w Kłodzku, afera z ukradzioną pomocą dla powodzian, afera w Szpitalu Południowym, afera Barbary Mróz-Gorgoń, a może afera rzecznik praw dziecka – to tylko kilka bardziej medialnych afer z ostatniego czasu. Ciężko nie odnieść wrażenia, że trwają właśnie mistrzostwa na najbardziej bezczelną i absurdalną aferę Uśmiechniętej Polski, a uczestnicy tych zawodów spieszą się, jak mogą, aby zdążyć wziąć w nich udział jeszcze przed końcem kadencji.

Co na to wszystko Donald Tusk – nasze Słońce Peru, Wielki Demokrata, który uratował Polskę przed kaczyzmem, najlepszy z najlepszych carów otoczony najgorszymi z możliwych bojarów? Z góry przepraszam co wrażliwszych Czytelników, ale nie znajduję lepszego określenia na jego podejście niż: ma na to totalnie wywalone. I co ciekawe – zdaje się to być najlepsza z możliwych strategii.

To zupełnie jak w tym znanym memie internetowym, gdzie dwóch polityków odbywa konwersację:

– Kradnie pan z budżetu?

– Tak, a co?

– Nie boi się pan, że ktoś się dowie?

– No właśnie się pan dowiedział. I co?

Tak samo działa to w Uśmiechniętej Polsce: właśnie się dowiedziałeś, drogi Czytelniku, o nowej aferze – może nawet w tym momencie jakaś kolejna zostaje ujawniona. I co? I nic.

Donald Tusk najwyraźniej uznał, że skoro nie da się poskromić kolejnych afer, to trzeba przestać z nimi walczyć i je „wymaksować" – tak aby przebodźcowany social mediami umysł współczesnego Polaka zwyczajnie nie był w stanie ich wszystkich przeprocesować, przyswoić i co za tym idzie: oburzyć się nimi. „Śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć miliona to statystyka" – miał mawiać Józef Stalin. Podobnie z aferami: jedna może obalić rząd, setka sprawia, że nikt już nie wie, na czym się skupić, a zmęczony kolejnymi informacjami umysł przestaje rejestrować, co się dzieje.

Wydaje się, że premier odkrył złotą zasadę radzenia sobie z aferami w obecnych czasach: po prostu je przemilczać, olewać i przeciągać zajmowanie się nimi w nieskończoność. Do skutku, do wybuchu kolejnej „jednodniowej" afery, która odciągnie niezwykle krótką uwagę społeczną od aktualnego problemu. I w ten sposób obecny problem sam się rozwiąże. A jak już nie ma wyboru: najwyżej poświęci się jakiegoś nic nieznaczącego urzędnika, aby pokazać, że „coś" się zrobiło. To pozwala zamknąć temat w gło-

eprasa.pl 14a885cb4b

wach zwolenników rządu i większości niezainteresowanych, a jednocześnie nie nadaje aferze zbyt dużej wagi. Ot, jakiś urzędnik jak zwykle coś zawalił, ale na szczęście dobry car Donald znalazł w końcu chwilę, żeby nad sprawą się pochylić. Kilku ministrów tracących stanowiska w wyniku afery podsłuchowej to już pieśń przeszłości. Donald Tusk już nigdy nie zdecyduje się na taki krok. Dlaczego? Bo zwyczajnie nie musi.

Wszystkie obietnice mogą być niezrealizowane, inwestycje rozgrzebane i porzucone, a ustawy pisane na kolanie w kolejce do zawetowania – to też nic. Najważniejsze, że bez zarzutu działa najważniejszy projekt tej koalicji – Doktryna Neumanna 2.0.

Co to takiego Doktryna Neumanna? Zgodnie z tym, co wyraził znany niegdyś polityk KO, partia ma w pełni bronić swoich członków, dopóki ci pozostają jej wierni, niezależnie od problemów z prawem czy zarzutów prokuratorskich. A czemu 2.0? Bo te stare i dobrze nam znane metody Donalda Tuska zostały całkiem zgrabnie dostosowane do nowych czasów.

Najlepiej to widać na dwóch przykładach: aferze Dawida Kacprzyka i aferze Barbary Mróz-Gorgoń. Na pierwszy rzut oka każdy może stwierdzić, która z nich jest poważniejsza i potencjalnie bardziej szkodliwa dla rządu. A jednak: środki podjęte w obu przypadkach zdają się mówić zupełnie co innego.

Od wybuchu afery w Szpitalu Południowym minęło już ponad 100 dni. Jedynym przesłuchanym w tej sprawie do dziś pozostaje były ordynator – sygnalista, człowiek, który całą aferę ujawnił. Przesłuchano go wręcz błyskawicznie i przy medialnym ostrzale podważającym jego słowa. Następnie wydarzyło się… nic. Dawid Kacprzyk pozostaje cały czas „nieuchwytny" dla prokuratury, rozbija się po polskich ulicach swoim autem i… dalej pracuje w zawodzie. Niby zmuszono go do złożenia mandatu radnego i członkostwa w KO, ale w zamian za milczenie załapał się na ten osobliwy Program Ochrony Aferzystów.

Co innego Profesor Basia od raportów z AI. Na swoje nieszczęście połaszczyła się na ładnie brzmiącą posadkę u boku premiera, ale nie zadbała o najważniejsze zabezpieczenie: deklarację członkowską KO. Wobec tego, kiedy tylko pojawiły się wątpliwości co do jej „pracy", a właściwie czy jej „praca" jest faktycznie jej – nastąpiła natychmiastowa restrukturyzacja jej stanowiska i została zmuszona do rezygnacji. Tu jednak nie kończą się reperkusje, bo przecież jak nie jesteś z nami (czyli w KO), to nawet jak pracowałeś dla nas, to jesteś przeciwko nam: z tego powodu Panią Basię dwojga nazwisk ostatnio odwiedziła policja i zostało wobec niej wszczęte śledztwo.

AFERĘ NALEŻY PRZEMILCZEĆ, PRZECIĄGNĄĆ I ZMĘCZYĆ NIĄ SPOŁECZEŃSTWO – BYLE DO KOLEJNEJ AFERY. OKAZJONALNIE MOŻNA JAKIEGOŚ „FRAJERA" WRZUCIĆ POD ROZPĘDZONY POCIĄG SPOŁECZNEGO OBURZENIA. I TO WSZYSTKO.

Najzabawniejsze i najsmutniejsze jednocześnie jest jednak to, że w tym szaleństwie zdaje się być metoda. Aferę należy przemilczeć, przeciągnąć i zmęczyć nią społeczeństwo – byle do kolejnej afery. Okazjonalnie można jakiegoś „frajera" wrzucić pod rozpędzony pociąg społecznego oburzenia. I to wszystko. Oto cała metoda. Sondaże wskazują, że poparcie dla Koalicji Obywatelskiej stabilnie rośnie i wcale nie jest powiedziane, że w 2027 roku podzielona i skłócona prawicowa opozycja przejmie władzę. Miały być konkrety, są afery. Liczba 100 się zgadza. Reszta to didaskalia.

Profesor Pingwin to jeden z najpopularniejszych polskich mikroblogerów. Aktywny na platformie X.

eprasa.pl 14a885cb4b

Fot. Adobe Stock

Czy rzeczywiście jesteśmy regionalnym mocarstwem

Niemoc, uwiąd i bezradność – tak najczęściej o Polsce mówią nasi geostratedzy. Amerykanie zaś widzą w nas regionalnego lidera, który może odgrywać w Europie **znacznie większą** rolę niż obecnie. Czy rzeczywiście stać nas na umocnienie własnej pozycji?

Mariusz Staniszewski

Licząc od 1990 roku, Polska jest najszybciej rozwijającym się demokratycznym krajem na świecie. W zależności od metodologii obliczeń nasz produkt krajowy brutto wzrósł w tym czasie z 600 do 850 proc. Lepsze wyniki zanotowały tylko Chiny – wzrost 1200 proc. i Wietnam – 878 proc.

Od 1992 roku – z wyjątkiem rzecz jasna pandemii COVID-19 – Polska była jedynym krajem w Europie, który nie zanotował recesji. Nawet w czasie kryzysu finansowego w latach 2008–2010 nasz kraj pozostawał na ścieżce wzrostu, co wskazywało na wyjątkową odporność polskiej gospodarki. W przeciwieństwie do innych krajów regionu nie uzależniliśmy się od jednej gałęzi przemysłu – jak Czechy czy Słowacja od branży automotiv – więc nawet wstrząsy w jednym sektorze nie powodują u nas głębokiego kryzysu.

eprasa.pl 14a885cb4b

Stabilne okazały się także polskie banki, a dzięki konsekwentnej polityce monetarnej złoty pozostaje waluta stabilną. Budujemy silną armię, a polskie firmy prowadzą skuteczną ekspansję w regionie i nie tylko. Bez naszego wsparcia – finansowego, militarnego, politycznego i humanitarnego – Ukraina nie byłaby w stanie obronić przed napaścią Rosji, a sprawne działania polskich służb specjalnych zapewniają stałe dostawy pomocy na front.

Dlaczego zatem ciągle uznajemy się za państwo z kartonu, które rozleci się jak domek z kart, gdy tylko ktoś mocniej dmuchnie?

Lewicowy umysł

Stawanie się mocarstwem – nawet regionalnym – zaczyna się od stanu umysłu. Albo dominuje myślenie podmiotowe, albo przedmiotowe. Mówił o tym ostatnio w Warszawie George Friedman, który jednocześnie się dziwi, że Warszawa prowadzi tak zachowawczą i mało ekspansywną politykę. Jakbyśmy ciągle byli sparaliżowani strachem.

Łatwo można wskazać powody takiego przedmiotowego myślenia. Znaczna część polskich elit uniwersyteckich i politycznych jest zakorzeniona jeszcze w PRL-u lub wyznaje bezkrytyczną fascynację Unią Europejską oraz jej omnipotencję. Choć pozornie te dwie postawy znacznie się od siebie różnią, w rzeczywistości prowadzą do podobnych skutków – uznania, że sami nie jesteśmy w stanie dobrze się rządzić i potrzebujemy patrona. Stąd właśnie taki bliski sojusz postkomunistów i liberałów, którzy chętnie by się pozbyli suwerenności, a jak najszersze kompetencje przekazali do Brukseli.

Zniewolony, lewicowy umysł bezpiecznie czuje się wyłącznie wówczas, gdy wyzbędzie się własnych ambicji narodowych, kulturowych i wspólnotowych, gdyż uznaje je za błędne i szkodliwe. To właśnie one mają prowadzić do konfliktów, wojen i chaosu, który niechybnie ma nas pogrzebać. Rezygnując z podmiotowości, unikamy więc konfrontacji z silniejszymi. Uległość wobec nich ma nam zapewnić bezpieczeństwo.

Nie ma tu więc miejsca na myślenie o sobie jako lokalnym liderze, a tym bardziej o regionalnym mocarstwie, ponieważ to oznaczałoby artykułowanie narodowych interesów i dążenie do ich realizacji. Te zaś są traktowane przez lewicę jako prosta droga do faszyzmu. W myśleniu przedmiotowym Polska i Polacy są pozbawieni prawa do wpływania na losy regionu, ponieważ to musi prowadzić do katastrofy. Tylko jako element większej całości – na przykład jako prowincja sfederalizowanej UE – możemy się czuć bezpiecznie. Nawet jeśli oznacza to rezygnację ze znacznej części suwerenności, narodowych dążeń i własnej historii.

Państwo z kartonu

Nieco odmienny w wymowie, ale w istocie podobny w skutkach, jest nurt o polskim fatalizmie i wszechogarniającej nieudolności. Reprezentuje go grupa geostrategów-celebrytów (najgłośniejszym jest chyba Jacek Bartosiak) i polityków – głównie z prawego skrzydła Koalicji Obywatelskiej, PSL i pozostałości partii Szymona Hołowni – którzy uznali, że polskie elity nie dorosły do wielkich wyzwań.

Przyszłość Rzeczpospolitej widzą w ścisłym sojuszu – raz z Niemcami, innym razem z Ukraińcami – bo sami nie jesteśmy zdolni do stawienia czoła niebezpieczeństwu. Według nich nie mamy w zasadzie niczego: pieniędzy, armii, przemysłu zbrojeniowego, naukowców zdolnych do tworzenia innowacyjnych rozwiązań i wreszcie narodu gotowego stawić czoła niebezpieczeństwu.

Nawet jeśli uznamy, że wiele argumentów podnoszonych przez te środowiska jest słusznych, to zaskakuje całkowite oderwanie od rzeczywistości. Nigdy w historii żadne państwo nie było w pełni przygotowane do konfliktów czy pojawiających się kryzysów. Warto powiedzieć, że Niemcom podczas anschlusu Austrii zepsuły się czołgi, wozy pancerne i ciężarówki, a ostatecznie dowieziono je do Wiednia pociągami. Brytyjczycy, przystępując do wojny, mieli za mało myśliwców i pilotów, by skutecznie bronić się przed Niemcami. Stany Zjednoczone, atakując Iran, nie były w stanie przewidzieć skali oporu i mimo ogromnej przewagi technologicznej oraz materialnej nie są w stanie unormować sytuacji w regionie.

Po napaści Rosji na Ukrainę eksperci ci przepowiadali szybki upadek Ukrainy oraz uważali, że państwem kluczowym dla bezpieczeństwa w Europie będą Niemcy. To właśnie o ochronę Belina mieliśmy zabiegać, bo Amerykanie

STAWANIE SIĘ LIDEREM TO W DUŻEJ MIERZE STAN UMYSŁU. ZDOLNOŚĆ DO REAGOWANIA NA KRYZYSY I POZBYCIE SIĘ STRACHU PRZED ZGŁASZANIEM WŁASNYCH AMBICJI.

eprasa.pl 14a885cb4b

chcą się całkowicie wycofać z Europy i sprzedać Ukraińców. Dziś ci stratedzy przekonują, że potrzebujemy ścisłego, militarnego sojuszu właśnie z Kijowem, bo tamtejsza armia jako jedyna potrafi walczyć. Ceną za taki alians miałaby być nawet rezygnacja w naszych interesów w kwestii rolnictwa czy przemysłu.

Nie zauważają jednocześnie, że Ukraińcy stawiają raczej na Niemców, a Polskę postrzegają jako konkurentów. Stany Zjednoczone zaś wcale nie zamierzają rezygnować z Europy Środkowej, a raczej widzą w niej przeciwwagę dla coraz bardziej wrogo do Waszyngtonu nastawionej Europy Zachodniej. Nie dostrzegają w tym szansy Polski na zbudowanie własnej podmiotowości, gdyż ich zdaniem Rzeczpospolita ciągle jest państwem z kartonu i rozpadnie się przy pierwszej dziejowej burzy.

To rozumowanie zaskakuje, gdy spojrzy się na Ukrainę. Państwo bez porównania słabsze, gorzej zorganizowane, biedniejsze, skorumpowane, nieposiadające stałych sojuszy, pozostawione w zasadzie poza wspólnotami międzynarodowymi, było w stanie obronić się przed rosyjską nawałą. Oczywiście płaci za to ogromną cenę, ale jednak okazało się zdolne do przetrwania. Pogardzane i wykpiwane udowodniło, że Rosja to znów kolos na glinianych nogach.

Stan umysłu

Pierwszy raz od około trzystu lat pojawiło się w Polsce pokolenie ludzi, którzy osiągnęli życiowy sukces, nie muszą walczyć o byt państwa, zdobyli wiedzę, doświadczenie i pewien poziom zamożności oraz nie czują żadnych kompleksów wobec Zachodu. Dzisiejsi czterdziesto-, pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatkowie pierwszy raz od pokoleń mogą spojrzeć na swój kraj z szerszej perspektywy, ponieważ wiedzą, z jakimi problemami zderzają się europejskie mocarstwa. Są więc w stanie dostrzec długofalowe interesy narodowe i nie tylko domagać się ich realizacji od rządzących, ale w razie potrzeby wziąć sprawy w swoje ręce.

ZACHOWALIŚMY WŁASNĄ WALUTĘ, CO JEST WAŻNYM ATRYBUTEM SUWERENNOŚCI, I MAMY NAJLEPSZE NA KONTYNENCIE RELACJE Z NAJSILNIEJSZYM PAŃSTWEM ŚWIATA, CZYLI USA.

Stawanie się liderem to w dużej mierze właśnie stan umysłu. Zdolność do przezwyciężania własnych słabości, reagowania na kryzysy i pozbycie się strachu przed zgłaszaniem własnych ambicji. Polska jest dziś szóstą gospodarką Unii Europejskiej, a nasze znaczenie ciągle rośnie. Jesteśmy jednym z trzech głównych kooperantów Niemiec i w dużej mierze ratujemy najsilniejszą europejską gospodarkę przed pogłębiającym się kryzysem. To m.in. dzięki innowacyjności polskich podwykonawców wiele branż w Niemczech zachowuje jeszcze konkurencyjność.

Ci ludzie są najbardziej zawiedzeni minimalistyczną polityką obecnego rządu. Nawet jeśli jeszcze z nim sympatyzują, to coraz bardziej rozumieją, że ekipa Tuska nie spełni żadnych ambicji. Te zaś wiążą się z dużymi inwestycjami infrastrukturalnymi, które powinny umożliwić nam konkurowanie z najsilniejszymi państwami w Europie.

Polscy menedżerowie, eksperci czy finansiści nie boją się zagranicznej konkurencji, raczej duszą się w atmosferze niemożności i nieudolności, która niczym gęsta mgła oblepia kluczowe dla państwa branże.

Okno szansy

Polska ma dziś wszystkie argumenty, by myśleć o sobie w kategoriach państwa ważnego i podmiotowego. Co więcej, tego oczekują od nas inne kraje regionu: szczególe nordyckie i te należące do Trójmorza.

Nasza gospodarka należy do najszybciej rozwijających się w Europie, zachowaliśmy własną walutę, co jest ważnym atrybutem suwerenności, i mamy najlepsze na kontynencie relacje z najsilniejszym państwem świata, czyli USA.

Na dodatek kraje dominujące w UE są wyjątkowo słabe. Niemcy toczą kryzysy – gospodarczy, społeczny, polityczny, tożsamościowy, a Francja pogrąża się w chaosie strajków, walk ulicznych, terroru i braku bezpieczeństwa. Na tym tle Polska wyrasta na oazę stabilności, spokoju, równowagi i racjonalności.

Tyle tylko, że żadne z naszych ugrupowań zdaje się nie dostrzegać okazji, jaką otworzyła przed nami sytuacja międzynarodowa. To okno szans nie będzie otwarte zbyt długo. Niemcy i Francja przejdą swoje katharsis i znów będą dążyć do dominacji nad resztą kontynentu. Wojna między Rosją i Ukrainą kiedyś się skończy, a wówczas zmniejszy się nasze znaczenie geopolityczne.

Dziś możemy awansować do ekstraklasy. Jutro może być za późno.

eprasa.pl 14a885cb4b

KARUZELA Z BLOGERAMI

SEAMAN

JAK HEJTOWAĆ, TO CUDZYM GŁOSEM

Premier Donald Tusk wiedzie przykładny żywot męża opatrznościowego. Przynajmniej taki obraz przedstawiają zaprzyjaźnione media, szczególnie łaskawe są telewizje. Na ekranie widzimy a to męża stanu, a to energicznego przywódcę, ewentualnie troskliwego dziadka na tle wnucząt lub zadbanego mężczyznę w sile wieku. Podczas wywiadów waży słowa, posługuje się frazą podrzędnie złożoną, nierzadko aktorskim gestem lub miną, bo też potrafi. Kiedy podczas konferencji padnie kłopotliwe pytanie od dziennikarza, wtedy pięknie się zamyśla i pobłażliwie uśmiecha. Język ma giętki, opinie najstaranniej odcedzone z konkretu. W przerwach między oficjalnymi wystąpieniami publikuje urocze rolki w mediach społecznościowych. W zależności od potrzeby występują tam pluszaki, dzieci, młodzież albo on sam pod Kancelarią, Belwederem czy w Łazienkach, gdzie dba o tężyznę fizyczną.

Prorządowe media kreują go na podręcznikowego zbawcę ojczyzny, któremu troska o kraj zajmuje czas od rana do wieczora. Można powiedzieć, że życie prywatne szefa rządu jest tylko kontekstem racji stanu. Nie traci cierpliwości, nie wpada w złość, nie wyzywa oponentów. Złośliwości wobec opozycji są wygładzone, żeby nie wyszedł na gbura. Gdzieś obok szaleją polityczne burze, wokół niego do krwi ścierają się poglądy, politycy obrzucają się obelgami, padają procesowe zarzuty, wulgaryzmy oraz groźby karalne. Natomiast szef rządu i całej koalicji rządowej stonowany, ponad podziałami, piarowe rozsierdzenie estetycznie podane. W tych mediach jest emanacją porzekadła, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

Czy to możliwe w politycznym kotle, przy takiej skali polaryzacji i nienawiści? Otóż możliwe. Ktoś napisał, że Radio TOK FM to jest „Gazeta Wyborcza" na głos. To celna uwaga, zwłaszcza w kontekście środowiska, które niegdyś promowało pluralizm w mediach. Jednak mnie kojarzy się z tą uwagą pewien wybieg, dzięki któremu premier odgrywa rolę poważnego państwowca w rozpolitykowanej dżungli. Sekret polega na tym, że Tuskowi – wbrew pozorom – wcale nie zależy, aby „język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa", jak to niegdyś napisał wieszcz. Jest wręcz przeciwnie.

Albowiem co się kołacze w głowie premiera, to mówią na głos inni. Mówią Tuskiem. Słusznie bulwersuje nas retoryka marszałka Sejmu, który zwierzył się publicznie, że „srał w polu, bo nie było kibli". Tymczasem to niekoniecznie jest maniera tego zasłużonego postkomunisty, on najprawdopodobniej mówi Tuskiem. Pamiętamy z pierwszej kadencji rządów PO-PSL przemysł pogardy wobec śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, którego heroldem i twarzą był Janusz Palikot. On także mówił ówczesnym premierem Tuskiem, wyrażał na głos jego myśli.

No właśnie, Czarzasty, Niesiołowski, Palikot, Nowak i wszyscy ci przyboczni, dawni i obecni, trąbią lub trąbili na głos myśli szefa. Tak jest od zarania jego rządów. On nie odżegnywał się od wulgarności Strajku Kobiet, fotografował się z Martą Lempart, co tam rej wodziła. Czyż nie jest zatem znamienny fakt, że tak było od zawsze? Przy premierze Tusku zawsze był jakiś Palikot serwujący publice pogardę dla jego rywali. Hejtujący opozycję Roman Giertych czy Waldemar Żurek nie są żadnym objawieniem. Z każdym rządem premiera z Sopotu związany był jakiś grandziarz epatujący grubiaństwem albo powielający proceder niesławnej pamięci Urbana. Przypadek?

eprasa.pl 14a885cb4b

Tydzień przyjaźni polsko-koreańskiej

Proj. K. Karnkowski

Ojkofobiczne media i zakompleksione elity od lat karmią nas przekonaniem, że **mało kto nas lubi**. Jakże więc nie cieszyć się z nagłego wybuchu sympatii ze strony grupy internautów z Korei Południowej?

Krzysztof Karnkowski

Początek tej nieoczekiwanej polsko-koreańskiej sympatii na X był właściwie produktem ubocznym ostrego spięcia między Koreą Południową a Ukrainą. Poszło o ujawnienie przez Wołodymyra Zełenskiego informacji dotyczących dwóch północnokoreańskich jeńców oraz o spór wokół wcześniejszych uzgodnień z Seulem co do poufności tej sprawy. Koreańskie MSZ wezwało ukraińskiego przedstawiciela i zażądało wyjaśnień, a napięcie szybko przeniosło się do mediów społecznościowych, w których część ukraińskich użytkowników zaczęła ostro atakować Koreańczyków. Wśród tych reakcji pojawiło się określenie Korei Południowej jako „azjatyckiej Polski" użyte w zamierzeniu jako uszczypliwość. Efekt okazał się odwrotny od zamierzonego, gdyż wielu Koreańczyków odebrało porównanie z Polską jako komplement, zaczęło odpowiadać wpisami o podobieństwach historycznych obu krajów i właśnie wtedy pojawiła się seria wzajemnie

eprasa.pl 14a885cb4b

życzliwych reakcji Polaków i Koreańczyków. Połączyło nas też przekonanie o niewdzięczności naszego wschodniego sąsiada.

Niebezpieczny trójkąt

Dla Seulu sprawa dwóch północnokoreańskich jeńców nie była tylko drobnym epizodem wojny rosyjsko-ukraińskiej. Korea Południowa traktuje mieszkańców Północy jako obywateli koreańskich i już wcześniej deklarowała gotowość przyjęcia żołnierzy, którzy nie chcą wracać do KRLD, a obaj jeńcy schwytani przez Ukraińców wyrazili chęć wyjazdu na Południe. Operacja była wyjątkowo delikatna także z powodów bezpieczeństwa. Reżim Kima stosuje odpowiedzialność zbiorową, więc ujawnienie ich losu mogło narazić pozostające w Korei Północnej rodziny żołnierzy na zesłanie do obozu koncentracyjnego. Mogło też wywołać polityczną reakcję Pjongjangu oraz skomplikować przyszłe rozmowy dotyczące jeńców.

Najdalej idące komentarze w Korei Południowej sugerowały wręcz, że może być to próba wywołania napięcia militarnego między obiema Koreami, wciąż przecież formalnie będącymi w stanie wojny, co z kolei zmusiłoby Północ do wycofania wojsk z Ukrainy i przerzucenia ich na własną południową granicę. Według południowokoreańskiego wywiadu to zresztą strona ukraińska jako pierwsza zwróciła się o zachowanie całej operacji w ścisłej tajemnicy, a oba państwa od początku działały ze wspólnym założeniem poufności. Dodatkowym problemem była polityka samego Seulu. W Korei Południowej od demokratyzacji funkcjonują dwa sprzeczne ze sobą modele podejścia do komunistycznego sąsiada. Partie prawicowe prowadzą politykę, którą moglibyśmy nazwać jastrzębią, a więc dużo bardziej zdecydowaną i konfrontacyjną. Partie centrolewicowe, liberalne i demokratyczne stawiają natomiast na tzw. słoneczną politykę, w myśl której łagodne stanowisko i współpraca gospodarcza skruszą w końcu czerwony beton ubogich braci z Północy. Zapamiętany z nieudanego, tragikomicznego przewrotu poprzedni prezydent był prawicowym jastrzębiem. Administracja prezydenta Lee Jae Myunga próbuje ograniczać napięcie i odbudować możliwość dialogu z Pjongjangiem, który ucieczki obywateli na Południe tradycyjnie przedstawia jako działanie wrogie. Dlatego publiczne ogłoszenie transferu przez Zełenskiego podczas wystąpienia na forum ONZ zostało w Korei odebrane nie tylko jako złamanie ustaleń między partnerami, ale jako ujawnienie wyjątkowo wrażliwej operacji dotyczącej bezpośrednio stosunków między dwoma państwami koreańskimi.

JEDNA Z KOREAŃSKICH ODPOWIEDZI BRZMIAŁA MNIEJ WIĘCEJ: „JEŚLI POLSKA, TO PRZECIEŻ KOMPLEMENT. BYLE NIE UKRAINA”.

Ukraińska ofensywa

Dyplomatyczne spięcie błyskawicznie przeniosło się na X, gdzie część ukraińskich użytkowników zaczęła reagować na koreańskie żądania wyjaśnień agresywnie i protekcjonalnie. Pojawiały się oskarżenia o niewdzięczność wobec Ukrainy, wyśmiewanie Koreańczyków, a nawet kuriozalne pytanie, kiedy Korea Południowa przeprosi Chiny za masakrę nankińską, dokonaną przecież przez wojska japońskie. Ten ostatni wpis sprowokował zgodne reakcje Koreańczyków, Chińczyków i Japończyków, którzy zaczęli wytykać autorowi elementarny błąd historyczny. Autor bronił się, że jego wpis był ironiczną odpowiedzią na pretensje o udział Ukraińców w wojnie koreańskiej po stronie Północy. Na tym tle 28 września ukraińskojęzyczne konto „Rousseau & Reese Think Tank”, znane z wcześniejszych zaczepek pod adresem polskich internautów, skomentowało koreańskie żądanie przeprosin słowami: „Nareszcie. Azjatycka Polska”. Określenie miało charakter szyderczy, ale trafiło na zupełnie inny grunt, niż zakładali jego autorzy. Jedna z koreańskich odpowiedzi brzmiała mniej więcej: „Jeśli Polska, to przecież komplement. Byle nie Ukraina” i zdobyła ponad 11 tys. polubień. Od tego momentu awantura zaczęła zmieniać charakter: pod koreańskimi wpisami pojawili się jak zawsze czujni w takich sytuacjach Polacy dziękujący za sympatyczne reakcje, Koreańczycy zaczęli odpowiadać polskimi flagami i komentarzami o podobieństwach obu narodów, a ukraińsko-koreański konflikt niespodziewanie przerodził się w internetowy festiwal polsko-koreańskiej sympatii.

Punkty wspólne

Dość szybko okazało się, że Koreańczycy nie ograniczą się do żartów i obrazkowej wymiany polskich oraz koreańskich flag. Zaczęli tłumaczyć sobie nawzajem, dlaczego porównanie z Polską właściwie im się podoba. Jeden z szerzej podawanych dalej wpisów wskazywał na podobne położenie obu krajów między silniejszymi mocarstwami, doświadczenie

eprasa.pl 14a885cb4b

utraty państwowości (rozbiory Polski i japońską aneksję Korei), okupację, walkę o zachowanie narodowej tożsamości, a wreszcie późną demokratyzację i szybki rozwój gospodarczy. Inni zachęcali wprost do zainteresowania się polską historią, polecając konkretne filmy. Przy okazji zaczęły wypływać znacznie starsze i zaskakujące związki obu kultur.

ODLEGŁE O TYSIĄCE KILOMETRÓW KRAJE MAJĄ W SWOJEJ ZBIOROWEJ PAMIĘCI ZASKAKUJĄCO WIELE PODOBNYCH PUNKTÓW.

Koreańscy internauci przypomnieli choćby, że „Ballada o Janku Wiśniewskim" od dziesięcioleci funkcjonuje w Korei w przerobionej wersji jako pieśń ruchu robotniczego „Gaja! Nodong Haebang" („Naprzód ku wyzwoleniu pracy"). To, co zaczęło się więc od internetowej obelgi, bardzo szybko zamieniło się w spontaniczne odkrywanie przez obie strony, że odległe o tysiące kilometrów kraje mają w swojej zbiorowej pamięci zaskakująco wiele podobnych punktów. Koreańczycy zaczęli analizować podobieństwa potraw naszej narodowej kuchni, a kilku właścicieli kont postanowiło przybliżyć nowym polskim obserwującym ciekawostki o swoim kraju czy dzieła sztuki.

Nie ma tego złego

To wszystko jest oczywiście bardzo miłe, jednak skali zjawiska nie należy przeceniać. Nie był to temat, który opanował koreański internet czy przebił się na szeroką skalę do głównego nurtu tamtejszej debaty publicznej, lecz przede wszystkim kilkudniowy wiral w obrębie X. Najpopularniejsza koreańska odpowiedź na określenie „azjatycka Polska" osiągnęła ok. 800 tys. wyświetleń i 13 tys. polubień, przy czym zapewne sporą część ruchu stanowili Polacy. Inne wpisy o podobieństwach historycznych miały zwykle od ponad 100 do ponad 400 tys. wyświetleń. „Tygodnik Solidarność" ma swoje miejsce w tej opowieści – po polskiej stronie największy zasięg miał wpis naszego kolegi Konrada Wernickiego informujący o nazywaniu Korei „Polską Azji", który zdobył ok. 1,4 mln wyświetleń i 9 tys. polubień. Same najlepiej widoczne wpisy dają więc około trzech milionów wyświetleń brutto, a po doliczeniu wielu mniejszych reakcji zasięg całej rozmowy był niewątpliwie większy. Nie oznacza to jednak milionów osób zaangażowanych w „polsko-koreańską przyjaźń": algorytm X wielokrotnie pokazywał kolejne wpisy tym samym użytkownikom, Polacy masowo zaglądali pod koreańskie posty, a społeczności wzajemnie się napędzały. Mamy więc do czynienia nie z masowym zjawiskiem społecznym w Korei, lecz z całkiem dużym i autentycznym internetowym fenomenem, który na kilka dni połączył dwie narodowe bańki. I na którym będzie można zapewne coś jeszcze zbudować.

INTERNETOWY FENOMEN NA KILKA DNI POŁĄCZYŁ DWIE NARODOWE BAŃKI. ZAPEWNE BĘDZIE MOŻNA NA NIM COŚ JESZCZE ZBUDOWAĆ.

Fundament

Bo przecież powody tej sympatii nie są na ogół naciągane. Jeszcze kilkanaście lat temu Korea kojarzyła nam się głównie z kilkoma ogólnoświatowymi markami w rodzaju Samsunga czy LG. Później do naszej świadomości przebił się k-pop, koreańska kuchnia, wreszcie kino i seriale. Okazuje się, że w mniejszej skali działa to jednak w dwie strony, i to nie tylko wtedy, kiedy kupujemy broń i sprzedajemy porcelanę i nieliczne produkty spożywcze. I nie tylko wtedy, gdy w jednym z koreańskich horrorów nawiedzony fortepian zaczynał grać Szopena. W innym serialu robot cytował Szymborską, w jeszcze innym na półce stała ni stąd, ni zowąd... książka Grzegorza Kołodki. Niedawno w filmie „Unofficial Operation (Ransomed)" zagrał Marcin Dorociński, wcześniej, z udziałem kilku naszych aktorów w Warszawie kręcono dramę „Terius behind me". W Warszawie teledysk do piosenki „Sticky" w 2024 roku nagrały dziewczyny z Kiss of Life, a kilka lat wcześniej aktorki Kim So-eun i Jo Bo-ah uwieczniły entuzjastyczny tour po knajpach, zabytkach i parkach Warszawy i Krakowa. Koreańczycy nie odkrywają więc zupełnie nieznanego sobie lądu. Potwierdza się jednak, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

eprasa.pl 14a885cb4b

Piotr Skwieciński

Podobno jesteśmy suwerenni...?

Dawno temu, jak mawia mój syn, „za dinozaurów", zdarzyło mi się być świadkiem, jak z miasta przybiegł do modnego pubu ktoś związany z jedną ze zwalczających się frakcji rządzącej wtedy AWS. I z tryumfem w głosie zakomunikował zebranym, że „Amerykanie odmawiają współpracy" z pewnym urzędnikiem polskiego rządu z koterii zwaśnionej z frakcją tryumfującego.

Towarzystwo się ucieszyło. I ja też, prawdę mówiąc, nie miałem żadnego powodu, żeby sympatyzować z tym, komu według tryumfującego Amerykanie odmówili współpracy. Raczej odwrotnie. A jednak z jakiegoś powodu nie podzieliłem radości. Poczułem natomiast coś w rodzaju zażenowania.

Ta historyjka przypomniała mi się, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o słynnej już rozmowie Donalda Trumpa z wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. I o tym, że podobno miała dotyczyć polskiej polityki wewnętrznej, a konkretnie zmiany przez PSL koalicjanta i utworzenia rządu z prawicą.

Nie kryję, że odczułem znowu to samo, co „za dinozaurów".

I powróciła ówczesna ambiwalencja.

Bo ja bym takiej zmiany politycznej Polsce życzył. Ale przecież, u licha, podobno...

Podobno jesteśmy suwerenni?

Tak, ja oczywiście rozumiem, że prawicowy rząd był przez kilka lat obalany z udziałem czynników zewnętrznych, czyli instytucji europejskich. Oczywiście – do Unii należymy, zresztą z własnej woli, więc można argumentować, że ze strony ówczesnej opozycji odwoływanie się do niej – to nie było takie całkowite deptanie suwerenności własnego państwa. Ale z drugiej strony Stany to nasz gwarant bezpieczeństwa, na którego wszystkośmy postawili, więc też można uznać, iż wzywanie go, żeby zrobił porządek z tymi gorszymi Polakami, nie jest niczym złym...

A tak całkiem poważnie: wobec wszystkiego, co wyrabia obecna władza, można zrozumieć pokusę, by machnąć ręką na nieważne szczegóły, staromodne skrupuły rzucić w kąt i uznać się za część trumpistowskiej Międzynarodówki, która ma to do siebie, że przynajmniej nie składa się z nieudaczników i zdarza jej się wygrywać. Tylko że wtedy już zupełnie pozbawimy się prawa do moralnego osądzania naszych przeciwników, którzy – w odróżnieniu od nas – zawsze prawie że otwarcie uważali polską suwerenność za przeżytek. Przy tym – przeżytek niemiły. Nie bardzo miałbym wtedy co odpowiedzieć, kiedy powiedzieliby nam, że przecież tak naprawdę jesteśmy tacy sami, jak oni.

No i zadziałałoby klasyczne prawo spirali eskalacyjnej. Czyli przy następnym jej obrocie, kiedy na przykład powstałby prawicowy rząd, jego liberalno-lewicowi przeciwnicy nie mieliby już żadnych skrupułów przy odwoływaniu się, w walce z nim, do czynników zewnętrznych. Dotąd odwoływali się do Unii, a nie otwarcie, na przykład, do Berlina. Za kilka lat i to może się zmienić.

Przede wszystkim jednak – ochocze uznawanie się za polską wypustkę Trumpa niesie ze sobą ryzyko na wypadek, gdyby obecny prezydent USA nagle zdecydował się wykonać w swej polityce zagranicznej jakiś taki manewr, który krańcowo zdepopularyzowałby go w oczach tej części Polaków czującej do niego sentyment. Nikt patrzący na rzeczywistość obiektywnie nie powie, że jest to niemożliwe. Czy polska prawica rzeczywiście miałaby wtedy ochotniczo pójść na dno wraz z, wtedy nagle znienawidzonym przez prawicowy lud, Trumpem?

W latach 90. Rafał Ziemkiewicz stworzył dystopię, w której w nieokreślonej przyszłości cała polska klasa polityczna dzieli się na klientów ambasady Rosji i ambasady Zjednoczonej Europy. Na balach i galach ambasadorzy tych potęg mają z reguły zarezerwowane gabinety, do których wzywają poszczególnych polityków, urzędników i ludzi mediów. A niewezwani bardzo starają się stworzyć bodaj pozór, że zostali do któregoś z tych gabinetów poproszeni, bo jak inni obecni na balu to dostrzegą, to pozycja takiego delikwenta wzrośnie...

Odpowiadałaby nam taka rzeczywistość?

eprasa.pl 14a885cb4b

Węgierska demokracja WAL(R)CZĄCA

Fot. Omar Havana / Reuters / Forum

Właśnie mija pół roku od objęcia władzy przez Pétera Magyara. Po dwóch dekadach rządów Viktora Orbána (z czego ostatnie szesnaście lat jednym ciągiem) na Węgry przyszło nowe. Chociaż z wygraną Tiszy nadzieje wiązał **cały przekrój społeczny** – poczynając od euroliberałów, przez apolitycznych społeczników, po konserwatywnych acz zawiedzionych byłych wyborców Fideszu – ugrupowanie mogło okazać się zupełnie innym graczem, niż ktokolwiek się tego spodziewał.

Hanna Szymerska

Z jednej strony widać trwałość, z drugiej nowy system, z trzeciej znamiona złośliwie rzecz ujmując „demokracji walczącej", z czwartej – dalej nie wiemy, jakie będą Węgry. Natomiast dzieje się sporo i w gruncie rzeczy nie dzieje się nic.

Partia przebrana za Fidesz pokonała Fidesz

Wybory na Węgrzech były specyficzne i to nie tylko przez fakt, że rzadko kiedy w Europie zdarza się odsuwać weterana pięciu kadencji na fotelu premiera. Do 2026 roku opozycja na Węgrzech przypominała ówczesną polską opozycję: totalną, skupioną na odsunięciu rządzących od władzy, złożoną z weteranów parlamentarnych, którzy zdążyli już kilkukrotnie w oczach wyborców zmienić poglądy, w zasadzie bezideową sklejkę różnych partii. W wydaniu naddunajskim w jednym szeregu znaleźli się byli skrajni prawicowcy z Jobbiku, postkomuniści i skrajna lewica liberalna. Magyar był jednak ponad tym. Fakt faktem, pojawił się w roli lidera na węgierskiej scenie stosunkowo późno – debiutem Tiszy były wybory parlamentarne w 2024 roku. Wcześniej związał się z Fideszem dosłownie i w przenośni – jako człowiek systemu i jako mąż byłej minister sprawiedliwości Judit Vargi, z którą rozwód stanowił

eprasa.pl 14a885cb4b

początek jego kariery. To, co wyróżniało Tiszę, i to na skalę Europy, było niczym innym jak udawaniem „lepszego Fideszu". Niegdyś Viktor Orbán stwierdził, że Fidesz może pokonać tylko Fidesz, i tak też się w teorii stało. Tisza zinternalizowała retorykę swojego rywala. Mówiła o zachowaniu tego, co dobre, czyli świadczeń socjalnych, emerytalnych oraz o utrzymaniu niegdyś kontrowersyjnego muru na granicy z Serbią. Jednocześnie ugrupowanie w zasadzie nie wypowiadało się o kwestiach obyczajowych i nie dążyło do rewolucji w relacjach z Ukrainą. Najważniejszym punktem jednak było rozliczenie poprzedniej władzy i zwalczenie korupcji. Magyar wprost zwracał się do zawiedzionych wyborców Fideszu słowami, że w zasadzie nie mają nic do stracenia, głosując na jego partię. Wykorzystał przy tym nastroje społeczne oraz brak nowego i pozytywnego programu ugrupowania Orbána. W momencie wygranych wyborów w kraju zapanowała euforia. Tisza zdobyła większość konstytucyjną. I stanowiła jedną wielką niewiadomą.

NIEGDYŚ VIKTOR ORBÁN STWIERDZIŁ, ŻE FIDESZ MOŻE POKONAĆ TYLKO FIDESZ, I TAK TEŻ SIĘ W TEORII STAŁO. TISZA ZINTERNALIZOWAŁA RETORYKĘ SWOJEGO RYWALA.

Stracone złudzenia

O Fideszu powiedziano już wiele. Że jest to partia skorumpowana, prorosyjska, autorytarna, skrajnie prawicowa [...] i praktycznie każdy z tych epitetów oprócz pierwszego jest nad wyraz przesadzony. Tisza miała być inna. I zawiodła wszystkich. Konserwatyści byli pierwsi wśród rozczarowanych. Ich nadzieje okazały się złudne już podczas procesu formowania rządu, gdzie sporą dyskusję wywołał wybór minister edukacji i spraw dzieci. Według pierwotnego zamysłu, o którym informował węgierski portal informacyjny Telex (notabene jednego z większych mediów antyfideszowskich na Węgrzech; powstały w wyniku rozłamu z prorządową redakcją Index), funkcję tę miała otrzymać Rita Rubovszky określana jako konserwatystka, wcześniej wieloletnia dyrektorka szkół cysterskich. Magyar zaskarbił tym sobie sympatię prawicowych redakcji i instytucji za granicą. Ale Rubovszky nie została powołana. Na nowego ministra wybrano Judit Lannert, która pięć lat temu ustawiała tęczową nakładkę na Facebooku w dniu głosowania nad ustawą zakazującą propagowania LGBT wśród dzieci. Potem nowy rząd zalegalizował paradę równości w Budapeszcie – jeszcze rok temu była zakazana. Obecnie toczy się również dyskusja o zezwoleniu na adopcję dzieci przez homoseksualistów. Warto zaznaczyć, że 68% Węgrów jest przeciwnych temu postulatowi. Po rozczarowanych konserwatystach przyszła kolej na zwolenników większej integracji Ukrainy z UE. W kwestii sprzeciwu wobec przyśpieszonej akcesji państwa do Unii Magyar dotrzymał słowa. W ostatnich kilku miesiącach Węgry nie zrobiły żadnej wolty. 18 września odbył się szczyt inauguracyjny Karpackiej Ósemki – inicjatywy państw w regionie Karpat, która ma na celu rozwinięcie współpracy energetycznej, logistycznej i polityki bezpieczeństwa. Węgry, choć były wymieniane i zapraszane, nie przystąpiły do Karpackiej Ósemki. Na samym spotkaniu pojawił się jedynie przedstawiciel – w sytuacji, w której wśród gości był chociażby prezydent Rumunii Nicuşor Dan. Dlaczego? „Ważne powody" niepodane szczegółowo do informacji publicznej. Jedynym, co rzeczywiście Magyarowi udało się osiągnąć w relacjach z Ukrainą, była pewna ugoda w sprawie mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu. Kwestia ponad stutysięcznej diaspory węgierskiej na Ukrainie wielokrotnie stanowiła zapalnik w chłodnych relacjach między państwami. Obecnie dyskutowana jest kwestia ustawy rozszerzającej prawa tej mniejszości w zakresie edukacji w języku narodowym. Jednocześnie kurs na wsparcie mniejszości został utrzymany w kwestii Węgrów na Słowacji. W obronie ich praw Magyar, przynajmniej deklaratywnie, poszedł krok dalej od Fideszu. Nowy premier wspomina o konieczności podniesienia kwestii poszkodowanych przez Dekrety Benesza Węgrów. Prawo to w powojennej Czechosłowacji wywłaszczyło i wysiedliło liczną diasporę na południowym krańcu Słowacji. Dyskusja jest o tyle ciekawa, że słowackie prawodawstwo ogranicza dyskusję nad ich słusznością. A co z Brukselą? Magyar, choć należy do Europejskiej Partii Ludowej, czasem krytykuje UE za chociażby unijną politykę migracyjną czy kryzys przywództwa. Ale z punktu widzenia Brukseli – dajmy premierowi szansę! Vote anti-Orban, no matter who.

Demokracja walcząca

Nie jest tak, że Tisza zupełnie nic nie robi. O ile pewne jest, że nie

eprasa.pl 14a885cb4b

zmieni społeczeństwa, które było kształtowane latami rządów Fideszu, jak i (a nawet przede wszystkim) wyjątkowo burzliwymi dziejami własnej ojczyzny w poprzednim stuleciu, o tyle może próbować wpłynąć na kształt sceny politycznej i kulturę. I tu Tisza wprowadza pewien model demokracji walczącej. Określenie nie jest przypadkowe, gdyż system działania środowiska Magyara łudząco przypomina sytuację w Polsce. W ostatnim czasie Országgyűlés (węgierskie Zgromadzenie Narodowe) postanowiło pozbawić immunitetu byłych ministrów: Miklósa Sesztáka z ramienia KDNP, byłego ministra rozwoju oskarżonego o przyjęcie łapówki, oraz Balázsa Hankó, byłego ministra kultury, który miał zdefraudować środki państwowe na kampanię Fideszu. Seszták po odebraniu immunitetu dobrowolnie oddał się w ręce Centralnej Prokuratury Śledczej (Központi Nyomozó Főügyészség), został zatrzymany, a następnie nie przyznał się do zarzutów, uważając je za niezrozumiałe i absurdalne. Hankó postanowił podzielić się z obserwującymi na portalu X zdjęciem, na którym przytula swoją rodzinę, czekając na zatrzymanie. Nie mamy możliwości stwierdzić, czy węgierski aparat sprawiedliwości działa uczciwie ani czy byli ministrowie są rzeczywiście winni stawianych im zarzutów. Istotniejszy jest inny fakt: widzimy pewne przedstawienie. Zakładając, że celem Tiszy było rzeczywiste rozliczenie poprzedniej ekipy – czy to z perspektywy węgierskiego wyborcy, czy nawet obserwatora z zagranicy – spodziewalibyśmy się prób rozliczeń głośnych nazwisk. System Fideszu miał swoje wady, między innymi nepotyzm czy korupcję i bez cienia wątpliwości premier Węgier był tych czynów świadomy. Innym istotnym błędem poprzedniej ekipy było stawianie interesów zagranicznych koncernów nad potrzebami własnych obywateli – co stanowiło motor napędowy Tiszy w regionie Hajdú-Bihar, gdzie chińskie fabryki baterii zatruwały środowisko naturalne w okolicach Debreczyna, działając tym samym na szkodę okolicznych rolników. O ile niektóre fabryki zostały rzeczywiście skontrolowane, o tyle nie widać prób „wyjaśniania" patologicznych przypadków z Viktorem Orbánem (który obecnie zajmuje się promowaniem własnej osoby na portalach społecznościowych) lub kontrowersyjnym byłym ministrem spraw zagranicznych Péterem Szijjártó (który szybko odnalazł się w świecie biznesu). Sytuacja z Hankó i Sesztákiem nosi znamiona pokazówki. Podobnie jeszcze bardziej niepokojąca kwestia – kazus muzeum Terror Házy, czyli Domu Terroru. Założycielka i wieloletnia dyrektorka muzeum Mária Schmidt została zwolniona bez wyjaśnienia i jakiejkolwiek komunikacji ze strony rządu po 24 latach kierowania placówką. O zwolnieniu miała dowiedzieć się z postu na Facebooku opublikowanego przez ministra Zoltána Tarra. Muzeum w chwili swojego powstania było obiektem bardzo kontrowersyjnym, ponieważ zgromadzone tam eksponaty dotyczyły dwóch totalitaryzmów prześladujących Węgry – strzałokrzyżowców (węgierskich kolaborantów Hitlera, którzy obalili legalny rząd Miklósa Horthyego w 1944 roku) oraz komunizmu. W 2002 roku skandalem dla węgierskich postkomunistów było zrównywanie ze sobą zbrodniczych ideologii. Polskiemu czytelnikowi należy wspomnieć jednak, że węgierski stalinizm był jednym z bardziej represyjnych systemów w Europie. Po II wojnie światowej w węgierskich więzieniach przebywało trzy razy więcej więźniów politycznych niż w Polsce pomimo trzykrotnie mniejszej populacji państwa i braku zorganizowanego podziemia antykomunistycznego. O ile Magyar zapowiada, że muzeum będzie ponownie otwarte w najbliższych dniach (co ma znaczenie, jeśli weźmie się pod uwagę 70. rocznicę powstania węgierskiego 1956), o tyle

ZAKŁADAJĄC, ŻE CELEM TISZY BYŁO RZECZYWISTE ROZLICZENIE POPRZEDNIEJ EKIPY, SPODZIEWALIBYŚMY SIĘ PRÓB ROZLICZEŃ GŁOŚNYCH NAZWISK.

OBECNIE TOCZY SIĘ DYSKUSJA O ZEZWOLENIU NA ADOPCJĘ DZIECI PRZEZ HOMOSEKSUALISTÓW. WARTO ZAZNACZYĆ, ŻE 68% WĘGRÓW JEST PRZECIWNYCH TEMU POSTULATOWI.

eprasa.pl 14a885cb4b

PR-owo cała sytuacja wygląda fatalnie. Ot, demokracja walcząca.

Umarł system, niech żyje system

Skończył się czas Fideszu. Partia nie ma obecnie szans się pozbierać. W tym upadku pomogła zmiana systemu prawnego – nowy rząd wprowadził limit kadencji premiera (do dwóch kadencji, czyli ośmiu lat) oraz dla parlamentarzystów (trzy kadencje; dwanaście lat). Na miejsce poprzednich funkcyjnych weszli nowi. Zmuszonego do ustąpienia prezydenta Węgier Tamása Sulyoka zastąpił po licznych zawirowaniach András Baka, były sędzia Sądu Najwyższego i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, krytyk rządów Fideszu znany z wniesienia skargi na własne państwo do ETPC. Szefową nowo utworzonego Krajowego Urzędu ds. Odzyskiwania i Ochrony Majątku (NVVH) została Anna Unger – politolożka, ale nie prawniczka i nie ekspertka ds. korupcji. Obecnie toczy się dyskusja o tzw. podatku solidarnościowym, opłacie mającej na celu zrównoważenie rozwoju poszczególnych regionów. Zamożniejsze samorządy miały przekazywać część dochodów biedniejszym, co ma ogromne znaczenie w kraju, w którym w zasadzie jest jedna metropolia (dwumilionowy Budapeszt), całkiem spora liczba średnich miast (największy Debreczyn, około ćwierć miliona mieszkańców) i mnóstwo mniejszych ośrodków. Miasto stołeczne narzeka na obciążenia z jego tytułu, które kosztują je nawet jedną piątą budżetu. Trudno jednak stworzyć system korzystny dla każdego, a bardziej radykalne pomysły na zmiany w podatku solidarnościowym mogą negatywnie odbić się na węgierskim videku (czyli prowincji). Ta w czasach Orbána przeżywała pewien renesans. Z punktu widzenia „wielkiej polityki" istotny jest również plan Magyara na skupione wokół Fideszu instytucje – a tych jest naprawdę sporo, gdyż partia zadbała o swoje zaplecze intelektualne i soft power w świecie poprzez chociażby wsparcie dla think tanków takich jak Mathias Corvinus Collegium, Danube Institute oraz pisma „Hungarian Conservative". Pozostają one jednak co najmniej w pewnym stopniu w rękach prywatnych i trudno je w sposób praworządny przejąć. System Orbána nie runie z dnia na dzień. Nie wiadomo też, w jakich bólach przyjdzie się urodzić systemowi Magyara ani jaki przybierze on kształt. Umarł system, niech żyje system. W węgierskiej polityce zazwyczaj nie zostaje się wybranym tylko raz – Ferenc Gyurcsány rządził dwie kadencje mimo rosnącego w kraju niezadowolenia i kryzysu, Orbán łącznie dwadzieścia. Jaka będzie Tisza? Czy po Orbánie choćby potop? Na pewno wiele jeszcze na Węgrzech się wydarzy, ale niekoniecznie w sposób spektakularny i czarno-biały.

> ZAMOŻNIEJSZE SAMORZĄDY MIAŁY PRZEKAZYWAĆ CZĘŚĆ DOCHODÓW BIEDNIEJSZYM, CO MA OGROMNE ZNACZENIE W KRAJU, W KTÓRYM W ZASADZIE JEST JEDNA METROPOLIA (DWUMILIONOWY BUDAPESZT).

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 14a885cb4b

Prawa do połowy

Polska podpisuje i ratyfikuje traktaty praw człowieka. Znacznie **ostrożniej** podchodzi do procedur, które pozwalają sprawdzić, czy rzeczywiście je wykonuje. Ratyfikacja Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej jest dobrym momentem, żeby tę asymetrię wreszcie nazwać po imieniu.

Andrzej Kuchta, członek Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"

Fot. Adobe Stock

Sprawa wróciła na stół

12 czerwca 2026 r. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przekazało partnerom społecznym projekt wniosku o ratyfikację Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej wraz z materiałem eksperckim. Resort ogłosił, że zakończył analizę zgodności polskiego prawa z Kartą i uruchamia procedurę ratyfikacyjną. Dokument był omawiany w Radzie Dialogu Społecznego.

Temu zagadnieniu poświęcone było seminarium naukowe, które NSZZ „Solidarność" zorganizował 10 i 11 września w Krakowie: „Zrewidowana Europejska Karta Społeczna (ZEKS) i protokół o skardze zbiorowej – znaczenie dla związków zawodowych i strategia ratyfikacji". Padło tam zdanie, które dobrze oddaje obecny moment: jesteśmy na początku drogi.

To ważne wydarzenie. Polska podpisała Kartę zrewidowaną w 2005 r. i przez dwadzieścia lat nic z tym nie zrobiła. Ale właśnie dlatego, że sprawa wreszcie ruszyła, warto od razu postawić pytanie, które w takich momentach najłatwiej przemilczeć. Nie brzmi ono: „Czy Polska ratyfikuje Zrewidowaną Europejską Kartę Społeczną?". Brzmi: „W jakim zakresie i z jakim mechanizmem kontroli?".

Ratyfikacja bez procedury kontrolnej to bowiem zobowiązanie, którego nikt z zewnątrz nie sprawdzi inaczej niż w trybie opartym przede wszystkim na informacjach przekazywanych przez samo państwo.

Rzecz jest prostsza, niż wygląda. Konwencja albo pakt mówią, do czego państwo się zobowiązuje. Dodatkowy protokół albo szczególna procedura mówią, kto i gdzie może wskazać, że państwo tego nie robi – i kto to oceni.

Bez tej drugiej części pozostaje sprawozdawczość. Państwo co jakiś czas pisze raport o sobie samym, organ międzynarodowy formułuje uwagi, a życie toczy się dalej.

Trzeba przy tym pamiętać, że nie wszystkie mechanizmy są takie same. W systemie ONZ dominują skargi indywidualne – ktoś musi być pokrzywdzony, wyczerpać drogę krajową oraz mieć siłę i determinację, żeby prowadzić sprawę latami. Procedura Europejskiej Karty Społecznej jest jakościowo inna. Dotyczy problemów zbiorowych i systemowych i nie wymaga, by za sprawą stała konkretna osoba. Dla związku zawodowego to różnica fundamentalna.

Łatwo powiedzieć, że Polska po prostu nie zgadza się na kontrolę organów międzynarodowych. Tyle że to nieprawda. Sytuacja jest bardziej skomplikowana. Polska od dawna uznaje mechanizm skarg indywidualnych związany z Międzynarodowym Paktem Praw Obywatelskich i Politycznych ONZ. Uznała też procedury skargowe dotyczące zakazu tortur, dyskryminacji rasowej oraz dyskryminacji kobiet. W tych obszarach obywatel może pójść dalej niż do polskiego sądu i nikt nie

eprasa.pl 14a885cb4b

traktuje tego jako zamachu na polską suwerenność.

Czego Polska nie przyjęła? Protokołu skargowego do Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych ONZ, protokołu skargowego do Konwencji o prawach osób z niepełnosprawnościami, procedury zawiadomień w systemie Konwencji o prawach dziecka ani protokołu o skargach zbiorowych przy Europejskiej Karcie Społecznej.

Wystarczy spojrzeć na tę listę, żeby zobaczyć, gdzie biegnie granica. Nie między „kontrolą" a „brakiem kontroli", lecz między prawami obywatelskimi i politycznymi a prawami społecznymi. Te pierwsze traktujemy jako prawdziwe prawa, które można egzekwować. Te drugie – jak deklarację dobrych chęci państwa, mierzoną wyłącznie tym, na ile ono samo uzna się za hojne.

To nie jest różnica techniczna, lecz wybór polityczny, który warto rządowi wypomnieć, niezależnie od tego, kto akurat sprawuje władzę. Żaden z dotychczasowych rządów tej granicy nie przesunął.

Instrument szczególny dla związków

Procedura skarg zbiorowych została skonstruowana tak, jakby ktoś pisał ją pod sposób działania związku zawodowego. Reprezentatywna krajowa organizacja związkowa może złożyć skargę sama. Nie musi znaleźć pracownika gotowego ujawnić nazwisko i ryzykować relacje z pracodawcą. Nie musi wyczerpywać drogi sądowej ani czekać na idealną sprawę sądową, która dobrze zilustruje problem.

Może powiedzieć wprost: to nie jest kwestia jednego pokrzywdzonego pracownika, tylko reguły, która obowiązuje wszystkich i jest sprzeczna z przyjętym przez państwo zobowiązaniem.

To dokładnie ten poziom, na którym związek zawodowy pracuje na co dzień: prawo do organizowania się i rokowań zbiorowych, prawo do działań zbiorowych, ochrona przedstawicieli pracowników, bezpieczeństwo i higiena pracy, informacja i konsultacja oraz zabezpieczenie społeczne.

Nie jest to ścieżka egzotyczna. Procedurę przyjęło szesnaście państw, m.in. Francja, Włochy, Belgia, Portugalia, Finlandia, Szwecja, Holandia, Czechy, a ostatnio Hiszpania. Nie myślimy o nich jako o państwach mniej przez to suwerennych.

Czego ta procedura nie potrafi i co jednak zmienia

Trzeba powiedzieć rzecz, którą zwolennicy ratyfikacji podnoszą rzadko, a która decyduje o wiarygodności całego argumentu.

Europejski Komitet Praw Społecznych nie jest sądem. Nie zasądzi odszkodowania, nie uchyli ustawy ani nie przywróci nikogo do pracy. Postępowanie kończy się decyzją o zgodności lub niezgodności, a dalszy ciąg należy do Komitetu Ministrów Rady Europy, czyli do polityki. Od złożenia skargi do rozstrzygnięcia mijają zwykle dwa – trzy lata.

Kto przedstawia protokół skargowy jako panaceum na problemy polskiego rynku pracy, zdecydowanie przesadza. Przez niemal trzydzieści lat funkcjonowania procedury złożono nieco ponad dwieście skarg. To nie jest maszynka do podważania prawa krajowego, a straszenie „lawiną skarg" jest niezgodne z faktami. Mimo przewlekłości postępowań pozostaje to jednak mechanizm bardzo wartościowy.

Skoro Komitet już dziś ocenia Polskę w trybie sprawozdawczym i stwierdza niezgodności, po co dokładać skargi? Odpowiedź jest jedna i mocna: zmienia się to, kto pisze scenariusz.

W procedurze sprawozdawczej państwo opisuje własną sytuację, wybiera, co podkreślić, a co zmieścić w przypisie, i robi to w rytmie cyklu, o którym nikt poza garstką ekspertów nie wie. Uwagi Komitetu trafiają do dokumentu, którego w Polsce prawie nikt nie czyta.

W procedurze skargowej organizacja – związek zawodowy, organizacja pracodawców albo organizacja pozarządowa – wybiera moment, temat i sposób postawienia sprawy. Państwo musi odpowiedzieć na cudze pytania, nie na własne. Sprawa ma nazwę, datę i publiczność.

Dla związku zawodowego oznacza to przejście z pozycji komentatora na pozycję strony. I to jest prawdziwa stawka ratyfikacji.

> W PROCEDURZE SKARGOWEJ PAŃSTWO MUSI ODPOWIEDZIEĆ NA CUDZE PYTANIA, NIE NA WŁASNE. SPRAWA MA NAZWĘ, DATĘ I PUBLICZNOŚĆ.

Jest jeszcze jeden warunek, o którym w debacie mówi się zbyt cicho. Skarga może dotyczyć wyłącznie tych postanowień Karty, które państwo faktycznie przyjęło. Dlatego dwie sprawy trzeba prowadzić równolegle: zakres przyjmowanych postanowień i przyjęcie procedury skargowej. Ich rozdzielenie jest najprostszym sposobem, żeby ratyfikacja wyglądała imponująco, a nie zmieniła niczego.

eprasa.pl 14a885cb4b

Strasburg nie zbuduje związku zawodowego

Trzeba też jasno powiedzieć po stronie związkowej: międzynarodowe prawa społeczne nie rozwiążą problemów ruchu związkowego. Nie zastąpią członkostwa, zdolności organizacyjnej, rokowań zbiorowych ani rzeczywistego dialogu dwustronnego między pracownikami a pracodawcami, na którym dopiero można oprzeć sensowny dialog trójstronny. To są narzędzia podstawowe. Bez nich najlepsza konwencja pozostaje dokumentem.

Najsilniejszą gwarancją praw pracowniczych pozostaje związek zdolny organizować ludzi i skutecznie negocjować. Żaden komitet międzynarodowy tej pracy za związki nie wykona.

Procedura skargowa jest też instrumentem wymagającym. Skargę trzeba napisać, udokumentować, obronić i prowadzić przez kilka lat. Potrzebne są do tego kompetencje prawne, dane i konsekwencja. Skarga przegrana albo źle przygotowana nie jest neutralna – może pozostać w obiegu jako potwierdzenie, że wszystko jest w porządku. Jeżeli więc związki domagają się tego narzędzia, muszą jednocześnie budować zdolność do jego używania. Inaczej wywalczą uprawnienie, z którego nikt nie skorzysta.

Nie znaczy to jednak, że druga linia ochrony jest zbędna. Można przez wiele lat prowadzić rozsądną politykę społeczną, mieć przyzwoity dialog i niezłe standardy. Tylko że rządy i większości parlamentarne się zmieniają, kryzysy gospodarcze i geopolityczne przestawiają priorytety państwa, a instytucje potrafią słabnąć szybciej, niż powstawały.

System ochrony praw nie powinien opierać się na założeniu, że akurat obecna władza zachowa się przyzwoicie.

Zobowiązania międzynarodowe nie zapobiegają każdemu naruszeniu i nie są narzędziem szybkiego reagowania. Robią co innego: podnoszą polityczny koszt obniżania standardów, dają zewnętrzny punkt odniesienia w sporze i zapewniają ciągłość gwarancji niezależnie od krajowego cyklu wyborczego.

Ochrona międzynarodowa jest najbardziej potrzebna nie wtedy, kiedy wszystko działa, lecz wtedy, kiedy działać przestaje. Decyzję o jej przyjęciu podejmuje się jednak zawsze wcześniej.

Nie chodzi o to, żeby Polska bezrefleksyjnie ratyfikowała każdy istniejący protokół. Chodzi o odwrócenie domniemania.

Skoro państwo dobrowolnie przyjęło zobowiązanie dotyczące określonego prawa, punktem wyjścia powinno być również przyjęcie przewidzianego dla niego mechanizmu kontroli. Jeżeli w konkretnym przypadku rząd uważa inaczej, powinien to publicznie i rzeczowo uzasadnić – zamiast odkładać sprawę na kolejne dwadzieścia lat, licząc, że nikt nie zapyta.

Postulat ratyfikacji Karty zrewidowanej wraz z protokołem o skargach zbiorowych znajduje się w dokumentach programowych NSZZ „Solidarność” od lat. Ratyfikacji protokołu domaga się także OPZZ. Po stronie związkowej nie ma tu żadnego sporu. Pytanie dotyczy wyłącznie tego, czy rząd potraktuje ratyfikację jako rzeczywistą decyzję, czy jako zamknięcie niewygodnego tematu przy jak najmniejszym koszcie.

Ratyfikacja Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej jest właściwym momentem, żeby przejrzeć całą polską politykę wobec procedur skargowych. Nie wystarczy zapytać, czy Polska przyjmie Kartę. Trzeba zapytać, czy dopuści mechanizm pozwalający związkom zawodowym i innym uprawnionym organizacjom sprawdzić, czy przyjęte zobowiązania są realizowane.

Silnych związków nie zastąpi żaden traktat. Ale silne związki również potrzebują trwałych reguł gry – takich, których nie da się zmienić wraz z każdą zmianą politycznej większości.

SILNYCH ZWIĄZKÓW NIE ZASTĄPI ŻADEN TRAKTAT. ALE SILNE ZWIĄZKI POTRZEBUJĄ TRWAŁYCH REGUŁ GRY, KTÓRYCH NIE DA SIĘ ZMIENIĆ WRAZ Z KAŻDĄ ZMIANĄ POLITYCZNEJ WIĘKSZOŚCI.

Publikacja w ramach projektu Rozwój zdolności NSZZ „Solidarność” dla aktywnego udziału w procesie monitorowania i stanowienia prawa.

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

eprasa.pl 14a885cb4b

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Panie Tomku, zbliża się kolejny Marsz Niepodległości.

Tomek: – Wracamy więc do jednego z minionych. Dokładnie jesteśmy w 2011 roku.

– Ale dzisiejsze zdjęcie nie pokazuje uczestników tego wydarzenia, ale spalony samochód.

– Tak, dokładnie samochód jednej ze stacji telewizyjnych. Której? To widać na zdjęciu. Ten pożar to element starć, do których doszło z uczestnikami przechodzącej wówczas także ulicami Warszawy równoległej manifestacji Antify.

– Jak ta sprawa się skończyła?

– Sprawa o odszkodowanie przedawniła się po 10 latach.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 14a885cb4b

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Zdzisław Krasnodębski

Wygładzić zmarszczki na duszy.

Refleksja na koniec sezonu urlopowego

W naszej epoce rzekomo bardzo ceni się różnorodność. Nic bardziej fałszywego. Weźmy na przykład sztukę współczesną. Wiecznie te same nikogo już nieprowokujące prowokacje, nudne jak flaki z olejem. Na festiwalach filmowych wygrywają ci, którzy sprawnie powtórzą tę samą znaną od lat przypowieść o tolerancji i humanizmie, o losie perwersyjnych wykluczonych, którzy już dawno stali się klucznikami. Teksty piosenek to najczęściej parę niewyrafinowanych słów czy zwrotów powtarzanych w kółko. Ci nieliczni, którzy mają do powiedzenia coś nowego, odmiennego, rzeczywiście pobudzającego do myślenia, nie mają co liczyć na laury. Jeszcze gorzej w telewizji, zwłaszcza gdy idzie o sprawy publiczne, a co dopiero, nie daj Boże, polityczne: kiedyś zapraszano do rozmowy po to, by ktoś powiedział coś innego niż wszyscy, coś oryginalnego, zaskakującego. Teraz każde zdanie niepowtarzające uznanej prawdy natychmiast uznawane jest za skandal, choćby było nie tylko prawdziwe, ale i oczywiste.

Podobnie jest z podróżami. Stały się uciążliwym obowiązkiem, bez którego spełnienia pozycja towarzyska może być zagrożona. Zimą kolejne zastępy męczenników z narażeniem ścięgien i kości udają się na narty; latem smażą się na plaży w tłumie gorszym niż w okolicach Dworca Centralnego w Warszawie. Turyści szukają czegoś nowego, jakichś nowych przeżyć, ale dzięki sprawności biur podróży prawie zawsze znajdują to samo, lekko tylko przyprawione egzotyką. I tylko dzięki mediom społecznościowym już nie męczą sąsiadów i znajomych pokazami swoich zdjęć lub przezroczy z wakacji.

> PRZEMYSŁ TURYSTYCZNY DAWNO JUŻ OPANOWAŁ, SKOMERCJALIZOWAŁ I ZBANALIZOWAŁ CAPRI, NEAPOL I WIELE INNYCH NADZWYCZAJNYCH MIEJSC EUROPY.

Po co się podróżuje, kiedy wszystko można obejrzeć w internecie? Goethe, gdy ruszył w świat – to znaczy do Włoch – by szukać samotności, tak wyjaśniał motywy swojej eskapady: „Mnie teraz chodzi tylko o wrażenia zmysłowe, których żadna książka i żaden obraz nie da. Najważniejsze, że świat znowu mnie interesuje, że wypróbowuję i badam moją spostrzegawczość, że chcę przekonać się, jak daleko sięga moja wiedza ścisła i ogólna, stwierdzić, czy moje oko jest jeszcze czyste, jasne i bystre, ile potrafię ogarnąć pospiesznym spojrzeniem i czy uda mi się wygładzić zmarszczki, które na mej duszy wyżłobił nawyk. Muszę teraz sam dbać o wszystkie moje sprawy, muszę stale uważać, zachowywać przytomność, i oto stwierdzam, że w ciągu tych kilku dni mój duch zyskał znowu giętkość”.

Teraz jednak niemal wszędzie kłębiący się tłum odbiera możliwość jakiegokolwiek doznania estetycznego i giętkości duchowej. Na zawsze zapamiętam horror „zwiedzania” Kaplicy Sykstyńskiej przed paru laty –pędzono ogromną rzeszę turystów przez muzea watykańskie jak Robert Duvall i jego kowboje pędzili swoje stado w „Bezprawiu”.

eprasa.pl 14a885cb4b

A przecież jeszcze w latach dziewięćdziesiątych można było spokojnie zwiedzać Watykan i Rzym. Dzisiaj w sezonie turystycznym dopchać się do Fontanny di Trevi można jedynie nad ranem. Dlatego szukający wrażeń jeżdżą dalej i dalej – tam, gdzie inni jeszcze nie byli. Ale chyba nie ma już takiego zakątka ziemi. Nawet na Mount Evereście są tłumy. Pozostaje tylko kosmos.

Cytowana powyżej „Podróż włoska" Goethego ukazała się w tłumaczeniu Henryka Krzeczkowskiego w ramach serii PiW „Podróże" wydawanej przez Pawła Hertza, którego dwudziesta piąta rocznica śmierci minęła w tym roku. Hertz jako dziewiętnastolatek wyruszył zwiedzać Europę. Jak opowiadał po latach Barbarze Łopieńskiej: „jeździłem nie po to, żeby się bawić, ale po to, by się kształcić – oczywiście w sposób bardzo szczególny, bo nie przez słuchanie wykładów, lecz przez oglądanie świata. Takiego, który był oparty na zasadach etycznych, moralnych i jakichś zasadach intelektualnych. Znakami tego świata były zespoły wielkomiejskie, zespoły architektoniczne, ośrodki władzy – parlamenty, muzea, biblioteki, dwory monarsze czy książęce". Zanim komuniści zafundowali mu możliwość zwiedzania Syberii, Kazachstanu i innych fascynujących, pozwalających lepiej zrozumieć naturę człowieka, regionów Związku Sowieckiego, zwiedzał Włochy, przebywał na Sycylii w towarzystwie Jarosława Iwaszkiewicza, mieszkał w Paryżu, który opisuje w „Sedanie".

Nie wyjeżdżał daleko – żadna Sri Lanka czy Nowa Zelandia. Jedynie Europa, i to ta bliska Polsce: „Do dziś uważam, że kto nie zna Włoch, nie zna tego całego pasma, od Włoch przez Austrię, Niemcy aż po Anglię, ten nie bardzo rozumie, gdzie żyje.... Jeśli ktoś czytał «Quo vadis», rozumiał, że tam jest środek świata. Tego świata, który jest przeznaczony dla niego. Nigdy mnie nie interesowały obszary, których, w moim naturalnie przekonaniu, nic się nie działo. Japonia, Chiny czy Indie do dziś mnie nie interesują. Wiem, że są wspaniałe i bardzo ważne, ale to nie dla mnie".

Wyjazd do środka świata wyznaczonego przez „Quo vadis" w czasach, gdy już nie pamięta się o żelaznej kurtynie, to żadna wyprawa. A jednak są tam miejsca mające szczególną aurę, której nie mogą mieć dla nas inne, bardziej odległe, obce nam strony. Plaże w Nicei, Biarritz, Saint-Malo, w Cabourgu czy Deauville są piękne, ale czy na Malediwach lub Sri Lance, albo w Turcji nie ma ładniejszych? Być może tak, ale po plaży w Cabourgu spacerowały kiedyś Albertyna i Andrea (zamieniona przez Boya w Annę) – i to na zawsze uczyni ją wyjątkową. I choć Proust trochę wyśmiewał towarzystwo mieszkające w Grand Hotelu i jego dyrektora, to do dziś w Grand Hotelu kultywuje się tamtą atmosferę luksusu dawnej epoki. Nawet kelner w hotelowym barze stylizuje się na młodego Prousta. A w dodatku w tym samym legendarnym hotelu miał przecież spędzić noc z Jacqueline narrator nowej powieści Antoniego Libery, która będzie wydarzeniem literackim – a raczej byłaby, gdyby książki zachowały swoją czarodziejską moc, jaką miały w młodości Hertza.

SZUKAJĄCY WRAŻEŃ JEŻDŻĄ DALEJ I DALEJ – TAM, GDZIE INNI JESZCZE NIE BYLI. ALE CHYBA NIE MA JUŻ TAKIEGO ZAKĄTKA ZIEMI. NAWET NA MOUNT EVEREŚCIE SĄ TŁUMY.

„CANCEL CULTURE" TO KOLONIALNA AGRESJA WSPÓŁCZESNOŚCI PRZECIW HISTORII. PRZESZŁOŚĆ JEST POPRAWIANA ZGODNIE Z OBECNYM SMAKIEM I WARTOŚCIAMI.

Przed II wojną światową uciekano z północy Europy do Włoch w poszukiwaniu straconego świata. Zmysłowość południa łączyła ponad politycznymi podziałami. Jak pisze autor książki „Adorno na Capri" Martin Mittelmeier o tamtej epoce: „Jeśli Capri jest krajobrazowym miejscem ucieczki dla romantyków, to Neapol jest takim miejscem społecznym. [...] Dla gości z północy Neapol stanowi zapowiedź obcego, pozaeuropejskiego, niemal

eprasa.pl 14a885cb4b

orientalnego świata. Z perspektywy głównie protestanckiej, wyznaczonej przez przemysłową kulturę pracy jest to moloch sztuki życia, lenistwa i zmysłowości; krąży powiedzenie o «dzikusach Europy». To raj dla każdego, kto pragnie uciec od cywilizacji".

Goethe, który nie mógł jeszcze narzekać na przemysł, myślał podobnie, narzekając na niemieckie usposobienie i nawyk do pracy i nauki: „Wybaczam wszystkim, którzy w Neapolu odchodzą od zmysłów. Przypominam sobie ze wzruszeniem mego ojca, który zachował na zawsze niezatarte wrażenie po obejrzeniu wszystkiego, co dziś widziałem po raz pierwszy. Mówią, że człowiek, który widział ducha, nigdy już nie będzie wesoły. O moim ojcu można by powiedzieć coś wręcz przeciwnego: nigdy nie oddawał się bez reszty ponurym nastrojom, bo zawsze mógł wspominać Neapol".

Przemysł turystyczny dawno już opanował, skomercjalizował i zbanalizował Capri, Neapol i wiele innych nadzwyczajnych miejsc Europy. Możemy zrozumieć Heideggera, który wzdragał się przed wyjazdem do Grecji, a gdy zmuszony przez żonę Elfriede udał się tam w 1962 r. statkiem, długo odmawiał wyjścia na ląd. Słusznie obawiał się, że Grecja, którą zobaczy, nie będzie taką, jaką odnajdywał w greckiej filozofii – Grecją presokratyków i Platona.

Czy w czasach powszechnej uniformizacji i standaryzacji tylko w przeszłości możemy szukać form życia zupełnie odmiennych od naszych? Amerykański historyk David Lowenthal zatytułował swoją znaną, wydaną w 1985 roku, książkę: „Przeszłość jest obcym krajem" (tytuł zaczerpnął z powieści L.P. Hartleya „Posłaniec"). Twierdził on, że interesujemy się pamiątkami przeszłości, że staramy się zachować i rekonstruować zabytki dlatego, że przeszłość przestała do nas bezpośrednio przemawiać, stała się nam obca, że nie czerpiemy już z niej wskazówek, jak żyć. Przeszłość jest „obcym krajem", odwiedzamy ją jak turyści.

Ale od czasu wydania tej książki sytuacja się chyba zmieniła. Przeszłość została podbita przez teraźniejszość; jest coraz bardziej kolonizowana przez współczesność. Nie jest już „obcym krajem", lecz krajem nam poddanym. „Cancel culture" to kolonialna agresja współczesności przeciw historii. Przeszłość jest poprawiana zgodnie z obecnym smakiem i wartościami. Cały „przemysł kulturowy" nad tym pracuje. Współcześni twórcy są jak pracownicy biura podróży, którzy dbają o nasz komfort – mamy poczuć dreszczyk emocji, jaki wywołuje obcość, ale ani na chwilę nie stracić poczucia bezpieczeństwa i wyższości. Dlatego z filmu Nolana, rzekomej „Odysei", nie dowiemy się niczego o Grekach, o tym, jacy byli, a tylko jacy według obecnego mniemania być powinni. To współcześni ludzie przebrani w historyczne kostiumy. Nie zrozumiemy, dlaczego Odyseusz nie miał wyrzutów sumienia, nie przeżywał zespołu stresu pourazowego i nie dbał o to, by Telemach nie splamił się zbrodnią. Przestajemy widzieć i rozumieć, że świat Homera był inny niż nasz, że jak pisał Auden: Świat Homera jest szalenie smutny, ponieważ nigdy nie przekracza chwili obecnej: ktoś jest szczęśliwy, ktoś jest nieszczęśliwy, ktoś zwycięża, ktoś przegrywa, wreszcie ktoś umiera. To wszystko. Radość i cierpienie są tylko czymś, co odczuwa się w danym momencie, poza tym nie mają znaczenia; odchodzą tak, jak się pojawiły; nie wskazują żadnego kierunku; niczego nie zmieniają. Jest to świat tragiczny, ale świat bez winy, ponieważ jego tragiczne błędy nie są błędami ludzkiej natury, ani – tym bardziej – błędami indywidualnego charakteru, a jedynie błędami wynikającymi z natury istnienia". Jeśli dziś przyjmujemy do wiadomości odmienność przeszłości, to tylko po to, by ją potem anulować. Dlaczego król Ryszard II w zapowiadanej ekranizacji Szekspira nie miałby być kobietą? Tylko po co nam taka historia, takie filmy i literatura, gdy mamy współczesną rzeczywistość, po co nam „Lalka" Netflixa, jeśli sąsiad, obiecujący aktor, potrafi „w realu" równie biegle jak jego koledzy w tym serialu przeklinać i wyzywać swoją „partnerkę" na cały dom? Wszystko w pakiecie, za darmo. Bez konieczności zakładania konta.

Może więc, by wygładzić zmarszczki, które na naszej duszy wyżłobił nawyk, lepiej nie zalewać ich botoksem masowej turystyki, nie wcierać w duszę olejku masowej kultury, poprawiającej historię, lecz poświęcić czas na refleksję i lekturę. I dopiero potem wybrać się w podróż, by oglądać świat, który jest nam przeznaczony, wypróbować i badać swoją spostrzegawczość.

CZY W CZASACH POWSZECHNEJ UNIFORMIZACJI I STANDARYZACJI TYLKO W PRZESZŁOŚCI MOŻEMY SZUKAĆ FORM ŻYCIA ZUPEŁNIE ODMIENNYCH OD NASZYCH?

eprasa.pl 14a885cb4b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Byłem na pogrzebie Przyjaciela

Byłem na pogrzebie Przyjaciela. Człowieka nieoczywistego, który wymykał się prostym kategoriom. Prywatnie sympatycznego, ciepłego i poczciwego. Publicznie postrzeganego jako skandalista, a często wręcz obiekt nienawiści. Miał co prawda burzliwą młodość, niech pierwszy, kto nie miał burzliwej, rzuci kamieniem, ale tak naprawdę przedmiotem nienawiści był głównie dlatego, że różni ludzie uważali go za swoją własność, a on miał to za nic, chadzając swoimi drogami.

Tak, był gejem. Waldek Krysiak był gejem. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Wiedział, że uważam homoseksualizm za grzech. Ale jednocześnie nie czuję się jego spowiednikiem. Ja również nie jestem bezgrzeszny. I nie mnie ważyć grzechy. Był człowiekiem wiecznie poszukującym, czasem trudno było za nim nadążyć, spieraliśmy się o różne kwestie, pod koniec jego życia nawet bardzo (dyskusji na temat aborcji i związków partnerskich już nie skończymy), ale nigdy się nie kłóciliśmy, z Waldkiem nie dało się pokłócić, za dużo było w nim serdeczności.

Mimo to tak wielu go nienawidziło. Jedni dlatego, że uważali, że „skoro jest gejem, ma obowiązek mieć poglądy gejowskie", tak jakby orientacja seksualna determinowała, jakim się jest człowiekiem, a drudzy chyba w sumie za to samo, bo nie mogli znieść, że nie siedzi w swojej gejowskiej szafie. Chyba nigdy nie zapomnę, co napisał po jego śmierci bodaj najbardziej znany w Polsce „aktywista LGBT". Człowiek domagający się od innych tolerancji i akceptacji napisał coś tak odrażającego, że nie warto tego tutaj cytować. A Waldek, jak Tom Bombadil, nie uznawał zasad, które ktoś ordynował, szedł przez życie własną ścieżką, brodaty jegomość jakby w niebieskim kaftanie, żółtych butach i wysokim kapeluszu z piórem, podskakujący i śpiewający wśród drzew: „Tom Bom, wesoły Tom, Tom Bombadillo!".

Zrobiliśmy razem wiele ważnych rzeczy. Wbrew światu, jak brzmiał jego internetowy pseudonim. Bodaj najważniejszą z nich jest ujawnienie przez Waldka we współpracy z Agnieszką Żurek tajnych czatów transaktywistów, za pomocą których rozprowadzano wśród nieletnich nielegalne hormony i na których pojawiały się również wątki pedofilskie. Prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie. Dlaczego? Być może nigdy się tak naprawdę nie dowiemy. Ale Waldek napisał całe fury tekstów. O katastrofie „rewolucji" trans. O niesprawiedliwościach doświadczanych przez ludzi, którym nie podoba się ideologia LGBT. O zagrożeniach, które spotykają dzieci ze strony wyznawców modnych „idei". Był człowiekiem odważnym, mądrym, świetnie wykształconym, wręcz erudytą. A jednocześnie człowiekiem nieprawdopodobnie kolorowym.

Dziękuję Ci, Waldek, za te wszystkie lata. Przepraszam, że nie zdążyliśmy Ci pomóc. I mam tylko jeden żal za to, że ukrywałeś swoją Mamę i Babcię. Trzeba było, żebyś umarł, żebym mógł je poznać. Miałeś, chłopie, fart, że żyłeś otoczony ich miłością.

A co do reszty, jeszcze to kiedyś obgadamy.

eprasa.pl 14a885cb4b

KULTURA

Czytaj też:
Były sobie Lalki cztery 58
„Òpi” – kaszubski horror (nie polecam!) 62

Chciałabym, żeby „Pieśń o lataniu” URADOŚNIŁA CAŁĄ EUROPĘ

Fot. kadr z klipu

– Moje życie ma wiele odcieni szarości. Nie jestem smutasem, ale nie powiedziałabym też, że jestem osobą uśmiechniętą od ucha do ucha. Daję w muzyce radość, bo czuję, że jest potrzebna. Także mnie. Prawie wszystkie moje piosenki są radosne i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego. W moich piosenkach jest trochę moich pragnień, więc ta radość jest też po prostu radością. Chciałabym, żeby takie było moje życie. Wkładanie radości w piosenki jest więc lekarstwem na moje życie – mówi **Karolina Lizer**, wokalistka, kompozytorka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem.**

eprasa.pl 14a885cb4b

„Pieśń o lataniu” to nowy singiel Karoliny Lizer. Słowiańska melodyka, poetyckie obrazy natury i brzmienie wiolonczeli spotykają się w nim z nowoczesną, klubową produkcją. To pełna radości i lekkości piosenka o potrzebie wolności, czułości i odwagi, by nie zapominać o własnych marzeniach.

– Marzyłaś kiedykolwiek o lataniu? Jako dziecko, nastolatka, młoda kobieta?

– Jeśli chodzi o latanie samolotem, to w zasadzie boję się latać. Jeśli natomiast chodzi o fruwanie w sensie metaforycznym, w swoją wyobraźnię, to fruwam w niej w zasadzie od urodzenia.

– Czyli można powiedzieć, że muzyka jest dla Ciebie takim odlotem?

– Zdecydowanie. Muzyka zawsze była dla mnie ucieczką od smutków, zmartwień i innych problemów życiowych.

– Napisałaś i zaśpiewałaś „Pieśń o lataniu”. Co ten utwór ma dać odbiorcom? To tylko kolejna piosenka o tym, że jest miło i przyjemnie, czy kryje się za nią coś więcej?

– W „Pieśni o lataniu” rzeczywiście jest miło i przyjemnie, ale jest też coś więcej. Utwór zwraca uwagę na to, że mamy w sobie pewne pragnienia i marzenia, które często spełniamy tylko w snach. Kiedy śpimy, dajemy się im ponieść i robimy wszystko, czego pragnie nasza dusza. Potem jednak budzimy się, a to wszystko znika. Odrzucamy te pragnienia, bo bardzo się ich boimy. To jest więc zachęta, żeby przestać się bać.

– Twoja twórczość ma pomagać ludziom pozbywać się lęków i kompleksów?

– Patrząc na moją twórczość całościowo, chciałabym przede wszystkim wnosić coś pięknego do życia. Jeśli chodzi konkretnie o „Pieśń o lataniu”, to chodzi o to, żeby mniej bać się czerpać z życia. Kiedy rezygnujemy z marzeń albo z różnych rzeczy tylko dlatego, że boimy się oceny innych, że może się nie udać, bardzo dużo tracimy.

– Jakie są dziś Twoje marzenia?

– Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to marzenia rodzinne, bo niedawno wyszłam za mąż.

– Wszystkiego najlepszego! W tym roku?

– Tak, w tym roku. A teraz, powiedzmy, takie bardziej przyziemne marzenia: znaleźć działkę i wybudować dom.

– Twój mąż również jest artystą?

– Jest z innej branży. Jest programistą, ale ma duszę artystyczną. Ładnie śpiewa. Kiedy to odkryłam, zaczął jeździć ze mną na koncerty jako kierowca i pomocnik w noszeniu ciężkich rzeczy, ale czasami zaciągam go również na scenę. W jednej piosence bierze udział.

MUZYKA ZAWSZE BYŁA DLA MNIE UCIECZKĄ OD SMUTKÓW, ZMARTWIEŃ I INNYCH PROBLEMÓW ŻYCIOWYCH.

– Czyli może pójdziecie w stronę muzycznego duetu?

– Jest to w planach i na pewno kiedyś zostanie zrealizowane.

– Jakie wyzwania i obawy stoją dziś przed artystką? Co Cię najbardziej trapi, patrząc na muzyczny biznes?

– Kwestia nagrań i sensu tworzenia nowych nagrań, sensu kolejnych wydań. Zauważam bardzo dużą tendencję do interesowania się muzyką AI. Taka muzyka powstaje w chwilę i ludzie z niej korzystają. Coraz częściej widzę ją w rolkach, relacjach czy filmikach. Na szczęście jestem artystką, która potrafi śpiewać i wystąpić na żywo, więc nie sądzę, żeby szybko została zastąpiona przez utwory generowane przez AI. Mimo wszystko zastanawiam się, jak będzie wyglądała przyszłość nagrywania i wydawania muzyki. Jeszcze niedawno ludzie słuchali muzyki AI dla żartu, bo powstawały jakieś głupie teksty czy zabawne piosenki. Teraz zaczyna powstawać muzyka AI na serio i ludzie również na serio zaczynają jej słuchać. To jest dziś moja bolączka.

– A media społecznościowe? Są dla Ciebie problemem czy raczej narzędziem, do którego się przyzwyczaiłaś?

– Teraz już nie jest to dla mnie bolączka. Kiedy social media dopiero zaczynały wchodzić do naszego życia, było to dla mnie męczące. Teraz się przyzwyczaiłam. Gdyby jednak media społecznościowe przestały istnieć, nie miałabym z tym dużego problemu. Raczej byłabym zadowolona.

– Wróćmy do Waszego związku. Na Instagramie jako pierwsze określenie pojawia się

eprasa.pl 14a885cb4b

u ciebie „żona". Gdzie artystka, dusza abstrakcyjna, poznaje programistę?
– Poznaliśmy się na rekolekcjach.

– To bardzo ciekawa historia, bo rzadko słyszy się o tym, że ktoś poznał miłość życia właśnie na rekolekcjach.
– My oboje nie szukaliśmy miłości. Ja nigdy specjalnie jej nie szukałam, bo zawsze byłam w środowiskach, w których było dużo ludzi. Po prostu poznawałam kolejne osoby. Jadąc na rekolekcje, zupełnie nie myślałam o tym, że chcę znaleźć tam męża. To były rekolekcje ignacjańskie, czyli takie, na których się nie rozmawia. Przyjeżdża się na miejsce, jest wprowadzenie, a raz czy kilka razy dziennie odbywają się spotkania z księdzem, który wprowadza do medytacji. Całymi dniami się medytuje. Nie można ze sobą rozmawiać. Trzeba zrobić wszystko, żeby odizolować się od reszty grupy i spędzić ten czas samemu ze sobą. Od razu uprzedzając wszelkie pytania: ze swoim mężem nie rozmawiałam w trakcie rekolekcji. Nie nawiązaliśmy wtedy żadnej relacji miłosnej. Dopiero po rekolekcjach mój przyszły mąż poprosił mnie o numer telefonu. Później się spotkaliśmy i tak naprawdę wtedy zaczęliśmy się poznawać.

– Czyli nawet kontakt wzrokowy był ograniczony?
– Tak. Była instrukcja, żeby przechodząc między pomieszczeniami, najlepiej patrzeć w podłogę albo w taki sposób, żeby nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Chodziło o to, żeby się nie rozpraszać i nie przeszkadzać innym w medytacji. Nawet podczas posiłków obowiązywały specjalne zasady. Puszczano muzykę, żeby nie było dziwnie cicho i żeby nie pojawiała się potrzeba rozmowy. Były zasady rozkładania talerzy i zachowania przy stole, wszystko po to, żeby maksymalnie ograniczyć kontakt z drugim człowiekiem i rozproszenie.

GDYBY MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE PRZESTAŁY ISTNIEĆ, NIE MIAŁABYM Z TYM DUŻEGO PROBLEMU. RACZEJ BYŁABYM ZADOWOLONA.

– Jak Twój mąż Cię znalazł?
– Pierwsza kolacja była jeszcze przed rozpoczęciem właściwych rekolekcji i wtedy mogliśmy chwilę porozmawiać. Później już nie. Podobnie było po zakończeniu. Ostatni obiad był już po rekolekcjach i wtedy mogliśmy normalnie rozmawiać. Ludzie siedzieli w grupce i dzielili się tym, co przeżyli. Kiedy mój mąż szedł na pociąg, zapytał mnie, czy nie dałabym mu numeru telefonu, bo może kiedyś byśmy się spotkali.

– Ile trwały te rekolekcje?
– Od 28 grudnia do 2 stycznia. Sześć dni.

– Czyli mieliście bardzo cichy sylwester.
– Sylwester rzeczywiście był cichy, ale nowy rok wcale nie był cichy. Myślę, że ten rok zupełnie się na tym nie skończył.

– Podczas posiłków była muzyka. Może powinnaś kiedyś skomponować muzykę specjalnie na rekolekcje ignacjańskie?
– To nie jest głupi pomysł. Tam również wyznaczało się osobę, która przez całe rekolekcje wybierała muzykę. Nazywała się „muzyczną". I ja byłam tą osobą.

– Jakiej muzyki słuchaliście?
– Miałam konkretne płyty i starałam się wybierać muzykę, która pozwalała spokojnie zjeść, ale jednocześnie nie wybudzała nas z tych wszystkich rozterek, które przeżywaliśmy. Zazwyczaj wybierałam muzykę klasyczną. Pamiętam, że wybrałam Chopina. Na tej płycie miał jednak tak burzliwe utwory, że zastanawiałam się, czy nie zmienić jej w trakcie posiłku, bo bardzo mocno ingerowała w atmosferę. Okazało się jednak, że nie był to zły wybór. Później podeszła do mnie jedna osoba i podziękowała mi za tego Chopina. Powiedziała, że ta muzyka była jej wtedy bardzo potrzebna i pomogła jej przejść przez coś, z czym się zmagała.

TERAZ ZACZYNA POWSTAWAĆ MUZYKA AI NA SERIO I LUDZIE RÓWNIEŻ NA SERIO ZACZYNAJĄ JEJ SŁUCHAĆ. TO JEST DZIŚ MOJA BOLĄCZKA.

– Takie rekolekcje pomagają później w działalności muzycznej? W końcu zawód wokalistki kojarzy się z dużą liczbą ludzi i przede wszystkim z dźwiękiem, a nie ciszą.
– Myślę, że takie rekolekcje nie są dla każdego. W moim przypadku przełożyły się jednak na całość mo-

eprasa.pl 14a885cb4b

jego funkcjonowania. To nie jest tylko siedzenie w ciszy. Nagle pojawiają się głosy, które wcześniej się nie odzywały – wewnętrzne potrzeby, których w zgiełku pracy, ludzi, YouTube'a czy social mediów po prostu nie słyszymy. Odkryłam wiele potrzeb i wróciłam z całą listą rzeczy do zrealizowania. Niektórych wcześniej nie pamiętałam albo nie czułam ich potrzeby, a przyniosły bardzo duże i pozytywne efekty w moim życiu. Nie każdy jest jednak gotowy na takie doświadczenie. Ksiądz, który prowadził rekolekcje, mówił, żeby nie polecać ich wszystkim. Można opowiedzieć, jak wyglądają, ale nie zachęcać każdego do wyjazdu. To naprawdę nie jest dla każdego. Kilka osób wyjechało w trakcie, a byliśmy również pod opieką osób, które sprawdzały nasz stan psychiczny. Przy tak dużym przebodźcowaniu nagłe przejście do absolutnej ciszy jest dosyć drastyczną zmianą. Jeśli jednak uda się przez to przejść, można usłyszeć to, co jest głęboko zakopane.

– W Twojej twórczości i wypowiedziach bardzo mocno obecne są wartości i wiara. W przyszłości pojawi się u Ciebie muzyka religijna?

– Przechodzi mi to przez głowę. Mam nawet kilka własnych utworów w stronę religijną i kilka pomysłów. Pewnie kiedyś zostaną zrealizowane. Nie wiem, czy w najbliższej przyszłości, ale myślę, że muzyka religijna również się gdzieś pojawi.

POZNALIŚMY SIĘ Z MĘŻEM NA REKOLEKCJACH IGNACJAŃSKICH.

– Nie myślałaś o stworzeniu z mężem takiego „power couple" w mediach społecznościowych? Macie przecież świetną historię.

– To trochę sprzeczne z filozofią mojego życia. Moja muzyka to moja praca, a mój mąż to moja rodzina.

Karolina Lizer

to polska wokalistka, kompozytorka, autorka tekstów, pianistka i klawesynistka. W swojej twórczości w unikalny sposób łączy muzykę folk, etno, world music oraz słowiańskie brzmienia z nowoczesnymi aranżacjami popowymi i klubowymi. Jest absolwentką szkół muzycznych I i II stopnia w klasach fortepianu i klawesynu. Studiowała także wokalistykę estradową. Przez lata szlifowała swój warsztat w Szkole Piosenki Elżbiety Zapendowskiej i Andrzeja Głowackiego oraz Autorskiej Szkole Musicalowej przy Teatrze Roma. Przez pewien czas studiowała również weterynarię. Jej największym dotychczasowym sukcesem jest triumf na 59. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Z utworem „Czysta woda" wygrała prestiżowy konkurs „Premiery", zdobywając Nagrodę Główną Jury, Nagrodę Publiczności im. Karola Musioła oraz wyróżnienie za tekst.

– Jakie wyzwania stoją dziś przed Wami jako młodymi ludźmi, którzy zdecydowali się na małżeństwo?

– Jesteśmy dodatkowo mocno religijni, więc dla nas małżeństwo jest jeszcze większym wydarzeniem. Uważamy, że ma być na całe życie. Teraz chodzi więc o to, żeby pielęgnować ten związek i sprawić, żeby rzeczywiście przetrwał. Myślę, że każdy związek, niezależnie od tego, czy jest małżeński, koleżeński czy inny, trzeba pielęgnować. To jest praca, niekończąca się praca. Tak jak w muzyce cały czas trzeba tworzyć coś nowego, tak samo w relacji trzeba cały czas o nią dbać. Trzeba mieć randki, rozmawiać, dbać o to, żeby miłość kwitła, i umieć rozwiązywać konflikty bez agresji czy wielkich kłótni. Rozmowa jest dziś ogromnym tematem. Musimy umieć rozmawiać, a jesteśmy trochę pozamykani w swoich telefonach.

– Zaczęliśmy „Pieśnią o lataniu" i zakończmy „Pieśnią o lataniu". Twoja twórczość kojarzy się z radością. Skąd bierzesz tę radość i jak przekładasz ją na muzykę?

– Moje życie też ma wiele odcieni szarości. Nie jestem smutasem, ale nie powiedziałabym też, że jestem osobą uśmiechniętą od ucha do ucha. To chyba nie jest tak, że radość przekładam na muzykę. Raczej daję w muzyce radość, bo czuję, że jest potrzebna. Także mnie. Ostatnio zauważyłam, że prawie wszystkie moje piosenki są radosne i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego. W moich piosenkach jest trochę moich pragnień, więc ta radość jest też po prostu radością. Chciałabym, żeby takie było moje życie. Wkładanie radości w piosenki jest więc trochę lekarstwem na moje życie.

– Jakie jest Twoje największe pragnienie na teraz albo na przyszłość?

– Może zdradzę, że planuję wysłać „Pieśń o lataniu" na Eurowizję. Mam więc takie pragnienie, żeby ta piosenka uradośniła całą Europę.

eprasa.pl 14a885cb4b

FILM

Były sobie Lalki cztery

Spór o „Lalkę” pokazuje, że przepis na idealną ekranizację dzieła literackiego **nie istnieje**. Albo jest tych przepisów tyle, ile „grup docelowych”. Szczególnie, kiedy różnice w ocenach pokrywają się z liniami politycznego podziału.

Jarosław Jakubowski

Kamila Urzędowska jako Izabela Łęcka i Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski w filmie „Lalka” Macieja Kawalskiego

Fot. kadr z filmu

Chyba żaden serial w niezbyt długiej historii polskich produkcji Netfliksa nie wywołał takiej burzy, jak „Lalka” w reżyserii Pawła Maślony, według scenariusza Pawła Demirskiego, Jagody Dutkiewicz i samego Maślony. Bo i rzecz została z premedytacją pomyślana jako przedmiot kontrowersji.

Metoda na wypatroszenie

Po pierwsze, powiedzieć, że twórcy potraktowali powieść Bolesława Prusa nader swobodnie, to nic nie powiedzieć. „Lalka” została wypatroszona z wielu elementów oryginalnej fabuły, a w ich miejsce umieszczono wątki dopisane przez scenarzystów. Postaciom, również tym kluczowym, całkowicie zmieniono charakterystyki, przez co Izabela Łęcka (przez wielu nieobeznanych z powieścią odbiorców utożsamiana z tytułową „Lalką”) z wytwornej, trochę pustej, a trochę zagubionej arystokratki, stała się ni mniej, ni więcej, tylko zblazowaną emancypantką, rozprawiającą o naprawieniu kobiecych krzywd i marzącą o zakupie pisma „Bluszcz”, nie wiedzieć czemu utożsamionym w serialu z Elizą Orzeszkową jako jego redaktorką naczelną, choć w rzeczywistości była tylko okazjonalną współpracowniczką. Z kolei Stanisława Wokulskiego wprawdzie poznajemy w momencie, gdy wraca z kapitałem zbudowanym na wojnie (bardzo to współczesne odniesienie), ale w przeciwieństwie do pierwowzoru jest człowiekiem w gruncie rzeczy słabym i psychicznie chwiejnym, co ujawnia się na przykład podczas spotkań z warszawskimi arystokratami, wobec których zachowuje się jak stremowany uczniak. No nie, Wokulski Prusa nie jąkał się na widok wysoko urodzonej socjety, a raczej nią całym sobą gardził, ale nie „klasowo”, bo sam wszak pochodził ze szlachty.

Problem z dwojgiem wiodących postaci „Lalki” jest zasadniczy w kontekście odbioru całości. Nie wynika on zresztą z samych decyzji obsadowych. Tomasz Schuchardt, można powiedzieć, że etatowy już aktor polskich produkcji Netfliksa, z zadania postawionego przez reżysera wywiązuje się poprawnie, a jego „Stach” w samej warstwie wizualnej dobrze się prezentuje. Gorzej z Izabelą Łęcką, w którą wciela się Sandra Drzymalska, dysponująca warunkami aktorki charakterystycznej, predestynującymi ją do ról innego rodzaju niż amantki. Mówiąc wprost i bez ogródek, przeciętnemu widzowi trudno uwierzyć w to, że Wokulski stracił głowę dla Łęckiej w takim wydaniu. A przecież to zderzenie romantycznej wizji miłości idealnej z brutalną rzeczywistością „wieku pary i elektryczności”, a przede wszystkim pieniądza, jest głównym tematem Prusa. Kiedy

eprasa.pl 14a885cb4b

któremuś z elementów tej konfrontacji brakuje autentyczności, cała intryga staje się sztuczna i dęta.

Romans starego subiekta

A co zrobiono z postacią Ignacego Rzeckiego? Ten powieściowy łącznik „między dawnymi i młodszymi laty" wnosi do fabuły powiew historii, wzruszający etos wierności umarłym (czy rzeczywiście umarłym?) ideom, a przy tym pełni arcyważną rolę mentora głównego bohatera, kogoś w rodzaju przewodnika chóru z greckiej tragedii. Tymczasem u Maślony Rzecki, grany przez Dariusza Chojnackiego, to fajtłapowaty safanduła, który postanawia zerwać ze starokawalerstwem na rzecz szybko skonsumowanego romansiku ze służącą. O tempora, o mores! – chciałoby się zawołać, choć częściej podczas oglądania zadajemy sobie pytanie: Gdzie tu „Lalka"?!

Arystokraci w serialu to bez wyjątku ludzie zepsuci i w mniejszym lub większym stopniu podli, a przy tym trawieni nałogami: karcianym i alkoholowym. Jacek Braciak jako Tomasz Łęcki sprawia wrażenie, jakby po latach powrócił do roli zapijaczonego funkcjonariusza z „Drogówki" Wojciecha Smarzowskiego. Uważni widzowie docenili charakteryzację podkreślającą popękane naczynka krwionośne na twarzy ojca Izabeli, ale chyba nie o taki efekt chodziło? A może chodziło, tyle że z Łęckim Prusa ma to tyle wspólnego, co nic. Piotr Adamczyk, podobnie jak Braciak i Schuchardt aktor doświadczony i sprawny warsztatowo, nadał postaci barona Krzeszowskiego cechy cynicznej kanalii. Grubą kreską narysowane zostały zresztą właściwie wszystkie charaktery serialu, który nabrał przez to cech nie tyle adaptacji, co komiksowego pastiszu. W omówieniach pojawił się przymiotnik „tarantinowski", bo i Maślona nie uchyla się od nawiązań do hollywoodzkiego reżysera, choćby w ukazaniu przemocy i sięgając po przekleństwa w dialogach, ze sławetnym „Ty ...ujcu borsuczy!" Łęckiej na czele.

Gdybyśmy jednak uważnie prześledzili fabuły Quentina Tarantino, przekonalibyśmy się, że przemoc i wulgaryzmy – mówiąc w dużym skrócie – pełnią u niego rolę służebną wobec opowiadanej historii. Ta angażuje nas od pierwszych chwil za sprawą protagonisty, na ogół w rodzaju „poczciwego łotra", budzącego naszą sympatię i sprawiającego, że chcemy dalej śledzić jego losy, mało tego – kibicujemy mu. W „Lalce" Maślony nie ma postaci, za którą chciałoby się pójść, bo nie została jasno określona stawka, w imię której bohaterowie walczą z przeciwnościami. Mówiąc kolokwialnie – nie wiadomo, o co im chodzi. W tej sytuacji i grube słownictwo, i nawet rozbryzgany mózg Kazimierza Starskiego nie działają na rzecz uwiarygodnienia filmowej fikcji, ale przeciwnie – budują efekt obcości, przez co serial Maślony-Demirskiego przypomina bardziej jakiś brechtowski tingel-tangel niż film fabularny z prawdziwego zdarzenia.

> W „LALCE" MAŚLONY NIE MA POSTACI, ZA KTÓRĄ CHCIAŁOBY SIĘ PÓJŚĆ, BO NIE ZOSTAŁA JASNO OKREŚLONA STAWKA, W IMIĘ KTÓREJ BOHATEROWIE WALCZĄ Z PRZECIWNOŚCIAMI.

Film to nie jest teatr

Widz, który zna teatralną twórczość współautora scenariusza, nie powinien być tego typu zabiegami zdziwiony. Demirski, szczególnie w okresie współpracy z reżyserką Moniką Strzępką, stworzył wiele niezwykle popularnych sztuk, skonstruowanych na zasadzie parafrazy tekstów klasycznych poprzez ich umieszczenie we współczesnym kontekście, będącym często komentarzem do zmagania się jednostki z realiami polskiego, brutalnego kapitalizmu doby transformacji. Całkiem udaną próbą przeniesienie doświadczeń Strzępki i Demirskiego na mały ekran był serial „Artyści" wyemitowany w TVP w 2016 roku. Niewykluczone, że gdyby twórcy bardziej zdecydowanie poszli w stronę pastiszu i uwspółcześnienia, „Lalka" byłaby serialem po prostu lepszym. Najwidoczniej kostiumy nie przysłużyły się tej historii, chociaż zarówno ubiory, jak i charakteryzacja oraz scenografia zostały wykonane z pietyzmem.

Musimy też pamiętać o tym, że Netflix przy wyborze projektów kieruje się własnym kodeksem, sformułowanym swego czasu przez Christophera Macka, dyrektora do spraw rozwoju kreatywnego w Netflix International. Oto pięć podstawowych wymagań, którym musisz sprostać, jeśli chcesz zaistnieć na tej platformie: „1. Postacie – Twój film lub serial powinien opierać się na podróży i rozwoju Twoich postaci, a nie na fabule. 2. Lokalne historie na całym świecie – Historie z Twojego kraju, znaczenie kulturowe Twojego miejsca pochodzenia. 3. Szeroka publiczność, a nie małe nisze. 4. To, czego ludzie chcą, a tradycyjne kanały oferują tylko powierzchownie. 5. Popularne tematy, o których NIE mówi się w Twoim kraju". Pytanie, czy któreś z nich spełnił „serial na motywach". A może spełnił je wszystkie, tyle że po łebkach?

Odpowiedź wielkoekranowa

Maścią na boleści widowni po doświadczeniu z „Lalką" (choć może

eprasa.pl 14a885cb4b

lepiej byłoby powiedzieć „Para-Lalką”) Pawła Maślony będzie kinowa „Lalka” w reżyserii Macieja Kawalskiego. Co ciekawe, obaj reżyserzy należą do jednego pokolenia, Maślona ma 43 lata, a Kawalski o trzy mniej. Można zatem powiedzieć, że „milenialsi” zafundowali sobie i nam dwie skrajnie różne wizje dziewiętnastowiecznej polskiej arcypowieści. Kto wie, czy nie wynika to z prostego faktu, że każda grupa pokoleniowa jest wewnątrz niejednorodna, składają się na nią odmienne jednostkowe doświadczenia i oczekiwania. Wielkomiejska, lewicowo-liberalnie zorientowana publiczność zdążyła obwołać serial Netfliksa objawieniem niemal na miarę polskiej „Sukcesji”. Tyle że statystyki oglądalności są bezwzględne i pokazują, że „Lalka” nie zawojuje raczej streamingu na świecie. Szkoda, bo „Lalka” jak rzadko która polska powieść doskonale nadaje się do tego, żeby pokazać uniwersalizm, a jednocześnie oryginalność naszego narodowego losu.

Czy jednak światowy sukces osiągnie „Lalka” kinowa, która – sądząc po sypiących się jak ulęgałki recenzjach – zadowala gusta bardziej konserwatywnej publiczności? Z pewnością dzieło Kawalskiego jest skazane na dobry wynik kasowy w Polsce. Zagwarantują go szkoły średnie, które tłumnie ruszają do kin. Dla młodzieży filmowa „Lalka” stanowi świetne uzupełnienie, a często ersatz wciskanej jej przez nauczycieli lektury.

Jako robota filmowa dzieło Kawalskiego wypada okazale, począwszy od – kolejnej już w karierze aktora – świetnej roli Marcina Dorocińskiego jako Stanisława Wokulskiego. Po udanych występach w międzynarodowych produkcjach można sądzić, że polski gwiazdor przyciągnie zagranicznych widzów. Szkoda tylko, że kinowa „Lalka” nie została pokazana na festiwalu w Gdyni ani nie wystawiono jej jako kandydata do Oscara.

Na razie cieszmy się, że dostaliśmy „Lalkę” na miarę oczekiwań masowej widowni, a przy tym bez udziwnień, czego nie mogą wybaczyć jej krytycy lubujący się w kinie „artystycznym”, czyli robionym dla krewnych i znajomych reżysera. Nie zapominajmy przy tym, że powieść Prusa ma „niskie”, gazetowe pochodzenie. Pisarz pisał ją w odcinkach dla „Kuriera Codziennego”. Zaspokajał czytelniczy głód opowieści z pogranicza romansu z wyższych sfer i panoramy społecznej schyłku XIX wieku. Pozwalał w swojej powieści przejrzeć się arystokratom i plebsowi, romantykom i pozytywistom.

Spieramy się o literaturę!

Dostajemy więc Izabelę Łęcką o delikatnej aparycji Kamili Urzędowskiej, dawno nie widzianego na dużym ekranie Marka Kondrata jako Ignacego Rzeckiego, a skoro już o gwiazdach mowa, to w filmie pojawiają się również Maja Komorowska, Krystyna Janda, Jan Englert czy Andrzej Seweryn. W większych lub mniejszych rolach, a nawet w drobnych epizodach, występuje piękna plejada polskich aktorów różnych pokoleń. Pierwszy to chyba od czasu „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy tak wystawny aktorski „polonez”.

Producent Gigant Films wraz z koproducentami: TVN, Wytwórnią Filmów Fabularnych we Wrocławiu oraz S2 Holding, pieniędzy na widowisko nie żałowali. Budżet filmu według oficjalnych danych wyniósł 15 mln euro, czyli jakieś 63 mln zł. I rzeczywiście mamy do czynienia z wiernym przedstawieniem realiów epoki w licznych plenerach i wnętrzach, lecz niekwestionowanym bohaterem filmu, jak i powieści zresztą, jest Warszawa. Nic dziwnego, że uroczystą premierę urządzono 28 września w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Niemal każdy widz, idąc do kina, będzie miał w głowie netfliksową „Lalkę”, a także kanoniczny serial Ryszarda Bera z 1977 roku. To jak dotąd najwierniejsza ekranizacja dzieła Prusa, jedyna zresztą, w której obecny jest „Pamiętnik starego subiekta”. Niektórzy zasiądą w multipleksach z jeszcze starszą „Lalką” przed oczami – tą w reżyserii i adaptacji Wojciecha Jerzego Hasa z 1968 roku. Mariusz Dmochowski, Jerzy Kamas, Tomasz Schuchardt, a może Marcin Dorociński? Beata Tyszkiewicz czy Małgorzata Braunek? Sandra Drzymalska czy Kamila Urzędowska? No i kto wygra w zawodach na najlepszego Rzeckiego – Tadeusz Fijewski, Bronisław Pawlik, Dariusz Chojnacki, a może Marek Kondrat?

Widzowie sentymentalni będą się zwracać ku niegdysiejszym „Lalkom”, jak sam Rzecki ku czasom Napoleona Bonapartego. Zwolennicy współczesnych wersji zaś będą wiedli nierozstrzygalny spór: ekranizować wiernie czy swobodnie, z pazurem czy z pietyzmem? Być może rozstrzygnięcie jest takie, że każde pokolenie ma swoją „Lalkę”. Patrząc z innej perspektywy – szczęśliwe to społeczeństwo, które kłóci się o odczytanie powieści wydanej 136 lat temu.

DZIEŁO KAWALSKIEGO JEST SKAZANE NA DOBRY WYNIK KASOWY W POLSCE. ZAGWARANTUJĄ GO SZKOŁY ŚREDNIE, KTÓRE TŁUMNIE RUSZAJĄ DO KIN.

eprasa.pl 14a885cb4b

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

NOTHING BUT THIEVES – STRAY DOGS
WYD. SONY

Nothing But Thieves wracają z albumem, który brzmi jak próba pogodzenia stadionowego rozmachu z potrzebą muzycznej swobody. „Stray Dogs" jest bardziej osobisty niż część wcześniejszego dorobku zespołu, a jednocześnie nie rezygnuje z charakterystycznych dla grupy potężnych gitar, efektownych refrenów i wokalnej ekwilibrystyki Conora Masona. Brytyjczycy pozwalają sobie na więcej eksperymentów: obok rockowej energii pojawiają się elektroniczne faktury, mroczniejsze nastroje i kompozycje, które nie zawsze zmierzają do oczywistego finału. Tematycznie jest tu sporo niepokoju – od technologii i sztucznej inteligencji po męskość, presję i zagubienie. Największą siłą płyty pozostaje jednak brzmienie zespołu na granicy kontroli: precyzyjne, ale niepozbawione nerwu. To ich świadomy krok naprzód.

TINASHE – POPSTAR
WYD. ATLANTIC

„Popstar" to Tinashe w wersji najbardziej świadomej własnej pozycji. Artystka bierze na warsztat nie tyle klasyczne historie o miłości, ile rzeczywistość życia w przemyśle rozrywkowym: ambicję, presję, pieniądze, pracę i paradoks funkcjonowania jako produkt, który jednocześnie chce zachować artystyczną niezależność. Muzycznie album porusza się pomiędzy popem, R&B, elektroniką i tanecznym eksperymentem. Tinashe nie wybiera jednak między przebojowością a awangardą – próbuje utrzymać oba żywioły w tym samym momencie. Obok utworów stworzonych z myślą o parkiecie pojawiają się bardziej zaskakujące rozwiązania produkcyjne, a całość ma wyraźnie przemyślaną dramaturgię. „Popstar" jest przy tym albumem autoironicznym: Tinashe gra rolę gwiazdy, ale równocześnie przygląda się jej z dystansem.

M83 – I WROTE YOU A LETTER
WYD. WŁASNE

M83 na dziesiątym albumie robią coś, czego można było po Anthonym Gonzalezie spodziewać, ale co wciąż potrafi zaskoczyć: cofają się do początków. „I Wrote You A Letter" jest w dużej mierze instrumentalną podróżą przez syntezatorowe mgły, ambient, psychodelię i filmową elektronikę. Zamiast konsekwentnie budować kolejne hymny na miarę „Midnight City", Gonzalez pozwala muzyce oddychać, czasem eksplodować, a czasem niemal zniknąć. „Blister Sunrise" otwiera album z rozmachem, później pojawiają się kompozycje bardziej surowe i eksperymentalne, w których słychać fascynację wczesnym M83. Gonzalez wykorzystuje stare pomysły jako punkt wyjścia do bardziej abstrakcyjnej opowieści. „I Wrote You A Letter" wymaga cierpliwości, ale potrafi odwdzięczyć się atmosferą.

SOFY – HOW TO PERFORM MAGIC
WYD. WŁASNE

SOFY debiutuje albumem, który doskonale pokazuje, że pop może być jednocześnie lekki, dowcipny i podszyty niepokojem. „How To Perform Magic" wyrasta z bedroom popu, ale szybko rozszerza jego granice o trip-hop, garage rock, britpop i breakbeaty. SOFY zestawia chwytliwe melodie z gitarową melancholią, przybrudzonymi rytmami i charakterystycznym, lekko ironicznym sposobem pisania. Pod powierzchnią tej swobody kryją się jednak tematy znacznie cięższe: cyfrowe zmęczenie, frustracja związana z branżą muzyczną, imposter syndrome i emocjonalny chaos dorosłości. SOFY ma przy tym rzadki talent do łączenia codziennych szczegółów z bardzo nośnymi refrenami. „How To Perform Magic" jest świeże, bezpośrednie i pełne charakteru.

eprasa.pl 14a885cb4b

„Òpi” – kaszubski horror (nie polecam!)

FILM

Lubię Kaszuby, lubię Boczarską, lubię Jastarnię i **lubię filmy z dreszczykiem**. Wybrałam się zatem na przedpremierowy pokaz polskiego horroru „Òpi” do legendarnego kina „Żeglarz” na Półwyspie Helskim.

Agnieszka Żurek

Fot. kadr z filmu

Działo się to w pierwszy piątek jesieni, deszcz nie padał, ale lał, ciemno, choć oko wykol, klimat idealny. Na dodatek przy tej samej uliczce w Jastarni, przy której mieści się kino „Żeglarz”, znajduje się opuszczony, nawiedzony dom, w którym od czasu popełnionej tam straszliwej zbrodni nikt nie jest w stanie zamieszkać – choć dworek jest piękny i położony w świetnym miejscu.

Kino z duszą (i duchami!)

„W Jastarni jesień już zagościła... Bałtyk huczy na wszystkie strony, kutry kołyszą się w porcie, opustoszały mokre uliczki, a Portową spowija mroczna aura... Słowem? Idealne warunki na TAKI pokaz specjalny! Już 25.09 w piątek widzimy się o 19.00 w «Żeglarzyku», by gruuubo przed premierą obejrzeć folk horror pt. «Òpi» wyrastający wprost z kaszubskich wierzeń. Bo gdzie, jak nie tu? Òpi to jeden z najgroźniejszych kaszubskich upiorów. Po śmierci budził się w grobie, pożerał własne ciało wraz z odzieniem, a potem zabierał się za żywych... Jak ten dawny zabobon został odczytany współcześnie? Opowiedzą nam o tym twórczynie we własnej osobie! Kogo będziemy gościć? Martę Giec – reżyserkę i współscenarzystkę, Dominikę Kłoczewiak – scenarzystkę, Wiktorię Kruszczyńską – odtwórczynię głównej roli, 18-letniej Triny, Gabrielę Muskałę – filmową, toksyczną matkę głównej bohaterki, Magdalenę Boczarską – filmową ciotkę Helenę, która po latach pojawia się wraz z nestorką rodu w domu pod numerem 7. Lepi, żebë më sã ùzdrzelë... [Lepiej, żebyśmy się spotkali – po kaszubsku – przyp. aut.] zanim Òpi zobaczy nas” – zapraszała na wieczór z „Òpim” załoga kina „Żeglarz”.

Załoga jest zresztą świetna, „Żeglarz” to kino z pasją, chyba jedno z ostatnich w Polsce, które zachowało klimat miejsca z duszą, gdzie

eprasa.pl 14a885cb4b

dyskutuje się o filmach, przesiaduje przy herbacie, spotyka znajomych i wokół którego buduje się społeczność. Goście premiery to świetni i bardzo uzdolnieni twórcy, a mimo to uciekłam z kina w popłochu. I tak byłam twarda – jedna z osób siedzących na widowni bowiem… zemdlała w trakcie pokazu. Można powiedzieć, że sama jestem sobie winna, skoro wybrałam się na horror. Zmylił mnie jednak opis filmu. „W przeddzień osiemnastych urodzin Trina planuje ucieczkę od toksycznej matki, ale jej zamiary burzy wizyta tajemniczej ciotki i babki. Rodzinne sekrety odsłaniają mroczne kaszubskie dziedzictwo i zmuszają dziewczynę do walki o życie". Sądziłam, że więcej będzie tu klimatów ludowych wierzeń, kaszubskiego folkloru, że być może będą one stanowić alegorię mechanizmów psychologicznych stojących za rozmaitymi międzyludzkimi uwikłaniami. I faktycznie, trochę tego było. Dominowała jednak krew. I to tak bardzo dosłownie. Naturalistyczne sceny odłupywania babci głowy łopatą, wyrywania zębów sztuka po sztuce, picia krwi i oblewania się nią to zdecydowanie coś, bez czego mogłabym się obejść. A było tego naprawdę dużo i sceny trwały długo.

Chaos w scenariuszu

Od strony warsztatowej poszczególne sceny były nakręcone bardzo dobrze, zagrane profesjonalnie, technicznie nie mam się do czego przyczepić, mam jednak sporo do zarzucenia treści filmu. Nie należę do osób, które lubią się w kinie bać dla samego strachu ani tym bardziej do takich, którym z jakichś powodów sprawia przyjemność widok krwi. Jestem jednak w stanie wytrzymać mocne filmowe sceny, jeśli faktycznie czemuś one służą. Tutaj mi tego zabrakło. Rozumiem, że miał to być film o przekazywaniu traum z pokolenia na pokolenie, o szkodliwości fasadowej i zabobonnej religijności, mam jednak poczucie, że tematy kulturowo-psychologiczne raczej posłużyły tu jako pretekst do epatowania brutalnością niż odwrotnie. Zgadzam się z krytykiem filmowym Łukaszem Adamskim, który stwierdził w swojej recenzji, że brakuje w tym filmie rozróżnienia między dobrem a złem, a do samego scenariusza wkradł się chaos. „Zasygnalizowane wątki się urywają (spalenie na stosie), drugoplanowe postacie znikają (przyjaciółka Òpi), a o samych kaszubskich wierzeniach musiałem doczytać po seansie, by je w pełni zrozumieć. Można odnieść wrażenie, że scenarzystki wpakowały różne religijne tematy, czyniąc z nich raczej ozdobnik niż spójny obraz duchowości głównych bohaterek" – wskazuje Adamski. Krytyk zwraca uwagę także na pojawiające się z filmie niespójności dotyczące odwołań historycznych. „Giec i Kłoczewiak pakują do swojego folk horroru sporo elementów. Z ekranów telewizora nie schodzi papież, w którego wpatrzona jest nucąca «Barkę» mama Ula. W tle pojawia się opowieść o Trinie Papisten, zielarce spalonej na stosie w 1701 roku w Słupsku. Zły katolicyzm uosobiony przez papieża vs nauka? Tak to wygląda. Tyle że Trina Papisten nazywała się naprawdę Kathrin Zimmermann, a pseudonim jest pogardliwym nawiązaniem do jej… katolicyzmu. Zimmermann była ostatnią kobietą spaloną na stosie na Kaszubach. Spaloną przez protestantów, którzy oskarżali ją nie tylko o bycie czarownicą, ale też papistką. Tego faktu z „Òpi" się akurat nie dowiemy. Tutaj wybrzmiewa zderzenie krzyża z kaszubską demonologią".

Mi to dopakowanie polskiego papieża do kaszubskiego horroru wydało się po prostu banalne i tandetne. O ile samo zagadnienie religijnej hipokryzji jak najbardziej może być interesującym wątkiem filmowym, o tyle zaznaczenie go w taki sposób, że najbardziej odrażająca postać w filmie przed kolejnymi aktami znęcania się nad rodziną musi „nafaszerować się" „Barką", odbieram jako płytkie. Szkoda, bo zarówno temat toksycznych relacji, jak i fasadowej religijności mógłby ciekawie współgrać z tłem ludowych wierzeń. Trzeba by było jednak te zagadnienia pogłębić. Bez tego będziemy się miotać między fasadową religijnością a fasadową areligijnością. Jako te upiory na rozstajnych drogach.

> UCIEKŁAM Z KINA W POPŁOCHU. I TAK BYŁAM TWARDA – JEDNA Z OSÓB SIEDZĄCYCH NA WIDOWNI BOWIEM… ZEMDLAŁA W TRAKCIE POKAZU.

„Òpi", reż. Marta Giec, scen. Marta Giec, Dominika Kłoczewiak, wyst. Wiktoria Kruszczyńska, Magdalena Boczarska, Gabriela Muskała, Iwona Bielska, Polska 2026.

eprasa.pl 14a885cb4b

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **13 PAŹDZIERNIKA** zdarzyło się:

1792 – wmurowano kamień węgielny pod budowę Białego Domu w Waszyngtonie;

1982 – podczas demonstracji w Nowej Hucie został zastrzelony przez funkcjonariusza SB 20-letni robotnik Bogdan Włosik.

Ofiary zbrodni w Ponarach

Fot. Wikimedia Commons

Hołota zwerbowana DO MORDOWANIA

W poniedziałek, 12 lipca 1943 r., do miejsca zwanego Ponary – baza, o godz. 17 przyjechała ciężarówka, najprawdopodobniej z Wilna. Z daleka można było usłyszeć **płacz kobiet i dzieci**. Wszystko ucichło, gdy ktoś wystrzelił dwa razy.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 14a885cb4b

Gdy w połowie wieku XIX powstała linia kolejowa biegnąca przez Ponary, blisko Wilna, ludzie zaczęli tam stawiać domki letniskowe. Wiedzieli, co robią, ponieważ było to miejsce idealne do odpoczynku. Urokliwe i spokojne. Jan Bułhak w swoich „Wędrówkach fotografa" wydanych w roku 1933 pisał, że to „najpiękniejszy może z klejnotów krajobrazu podwileńskiego". „Ażeby nacieszyć się Ponarami w całej ich rozciągłości, należy osobno pojechać koleją do Landwarowa, albo jeszcze lepiej, pójść pieszo plantem kolejowym, który wrzyna się w sam środek ponarskiej puszczy". Kilka lat później ten „klejnot krajobrazu podwileńskiego" stał się miejscem masowej zbrodni. Z rąk niemieckich okupantów i ich współpracowników zginęło tam około 100 tys. ludzi.

„Rzeźnik" z Wilna

Urodzony w roku 1912 Franz Juganowicz Murer dożył starości i zmarł w 1994 r. W latach 40. był referentem komisariatu do spraw żydowskich w okupowanym Wilnie. Na początku lat 80. izraelski wywiad planował wykonać na tym niemieckim zbrodniarzu wyrok. Przygotowując się do akcji, agenci Mosadu, udając wczasowiczów, zatrzymywali się w gospodarstwie Murera i jego żony w austriackiej Górnej Styrii.

Były esesman znalazł się na tajnej liście nazistów, których należy wyeliminować zatwierdzonej przez izraelskiego premiera w 1977 r. Ostatecznie odstąpiono od zastrzelenia Murera, ponieważ ważniejsze były stosunki dyplomatyczne pomiędzy Austrią a Izraelem.

Po raz pierwszy Franz Murer został zatrzymany zaraz po wojnie, a stało się to dzięki Szymonowi Wiesenthalowi. Było to w roku 1947. Wiesenthal dowiedział się o naziście, który hoduje kurczaki, i być może jest to sam Adolf Eichmann. W istocie był to „Rzeźnik z Wilna". Anglicy zatrzymali go i wydali Sowietom, ponieważ Litwa była już wtedy w granicach ZSRS. Sowiecki sąd skazał Niemca w 1949 r. na 25 lat łagrów, ale Murer wrócił do Austrii już po 7 latach, co było pokłosiem międzypaństwowej umowy o wypuszczeniu na wolność jeńców wojennych. Wiesenthal, gdy się o tym dowiedział, nagłośnił sprawę, ale Murer stanął przed sądem dopiero w 1963 r. Prokurator oskarżył go o zabicie kilkunastu osób. Wyrok zapadł bardzo szybko i brzmiał... niewinny, publiczność na sali sądowej przyjęła go oklaskami, a kwiaciarnie w pobliżu budynku sądu były tego dnia ogołocone z kwiatów, które otrzymał Murer.

„Ocaleni z wileńskiego getta, wezwani na świadków, byli «bombardowani szczegółowymi pytaniami», jak później ujął to prawnik Gabriele Pöschl, który badał akta postępowania karnego. Na przykład, 20 lat po wileńskim horrorze, świadków pytano, jaki kolor miał mundur Murera. Sędzia upomniał świadków, którzy spotkali się z drwinami ze strony publiczności" – przypominał kilka lat temu austriacki dziennik „Kleine Zeitung".

Ten morderca nie tylko własnoręcznie zabijał, ale również przekazywał mieszkańców getta na rozstrzelanie w Ponarach.

Temat tabu?

W Ponarach zamordowano „kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, żołnierzy podziemia polskiego na Wileńszczyźnie oraz inteligencji polskiej. Zostali w tym miejscu również uśmierceni żołnierze sowieccy, wzięci do niewoli niemieckiej. Wykonanie zamierzonego planu możliwe było jedynie dzięki współpracy Niemców z litewskimi oddziałami «partyzanckimi», litewskimi władzami administracyjnymi, jak również dzięki powołaniu oddziału specjalnego" – mówiła w wywiadzie dla portalu Histmag Monika Tomkiewicz, autorka pracy „Zbrodnia ponarska 1941–1944".

„KLEJNOT KRAJOBRAZU PODWILEŃSKIEGO" STAŁ SIĘ MIEJSCEM MASOWEJ ZBRODNI. Z RĄK NIEMIECKICH OKUPANTÓW I ICH WSPÓŁPRACOWNIKÓW ZGINĘŁO TAM OKOŁO 100 TYS. LUDZI.

Przygotowując się do napisania tego tekstu, zapytałem moich znajomych mieszkających na Litwie, jak Litwini poradzili sobie z tym, że ich przodkowie brali udział w ludobójstwie.

„Jest cisza, Litwini o Ponarach milczą. Zresztą tak jak o kolaboracji"; „Litwini nie rozliczyli się w pamięci publicznej, narodowej"; „Ponary to temat tabu"; „Młodzieży polskiej czy litewskiej Ponary nie interesują"; „Była książka o kolaboracji z Niemcami, ale autorkę zmieszali z błotem, że hańbi naród" – usłyszałem.

Ta książka nosi tytuł „Nasi. Podróżując z wrogiem" autorstwa Efraima Zuroffa i Rūty Vanagaitė. Można

eprasa.pl 14a885cb4b

w niej przeczytać m.in., że „na Litwie kolaboracja z nazistami obejmowała wszystkie warstwy społeczeństwa – od duchowieństwa przez inteligencję do chuliganów i zwykłych przestępców", a „od momentu uzyskania suwerenności przez Litwę historyczny obraz Holokaustu był odgórnie wybielany", 27 stycznia – w Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu – „ przedstawiciele rządu litewskiego, tak jak co roku, udają się do miejsca masowego mordu w Ponarach i składają ten sam wieniec, który zawsze pojawia się u stóp pomników wzniesionych dla upamiętnienia pomordowanych na Litwie Żydów. [...] Jakiś wiceminister albo zastępca dyrektora departamentu będzie oficjalnie reprezentował rząd Litwy".

Ponadto 23 września obchodzony jest Dzień Zagłady Żydów Litewskich, tego dnia w 1943 r. odbyła się likwidacja wileńskiego getta.

PO RAZ PIERWSZY FRANZ MURER ZOSTAŁ ZATRZYMANY ZARAZ PO WOJNIE, A STAŁO SIĘ TO DZIĘKI SZYMONOWI WIESENTHALOWI.

Dziennik dowodem w sprawie

Kazimierz Sakowicz przed wojną był dziennikarzem w Wilnie. W czasie okupacji zamieszkał w Ponarach. Widząc, co się tam dzieje, zaczął prowadzić notatki, a zapisane kartki chować w butelkach, które zakopywał w ogrodzie. Notatki odkopano po wojnie i trafiły do archiwum. W Polsce po raz pierwszy usłyszano o dzienniku jednego z najważniejszych świadków zbrodni w Ponarach w latach 70., gdy przed Sądem Wojewódzkim w Olsztynie sądzono Viktorasa Galvanauskasa, członka wileńskiego Sonderkommando, który przez lata był znany jako Witold Gilwiński i mieszkał w Olsztynku. Peerelowska Służba Bezpieczeństwa wpadła na jego ślad w latach 70. Oficjalnie Viktoras Macėjus Galvanauskas, urodzony 26 sierpnia 1912 r. w Wilnie, był uznany przez sąd w Gdańsku za zmarłego, a stało się to na wniosek jego żony pod koniec lat 40. Jednak SB nie dawała za wygraną. „Szukaliśmy człowieka mającego około 63 lat, o określonym kolorze oczu, charakterystycznym – nosie, wąskich ustach, mechanika, taki bowiem zawód zdobył Galvanauskas przed wojną. Nasza wytrwałość i dociekliwość przyniosła wreszcie wyniki, natrafiliśmy na ślad człowieka, który odpowiadał wszystkim kryteriom. Był nim Witold Gilwiński, mechanik, narzędziowy, w Ośrodku Transportu Leśnego w Olsztynku. Zgadzał się rok urodzenia, choć dzień i miesiąc był inny. Jako miejsce urodzenia podawał Wilno. Te same były imiona rodziców, podobnie brzmiało nazwisko panieńskie matki. Oczywiście mógł być to przypadek, należało więc wziąć pod uwagę i inne okoliczności" – mówił w latach 70. anonimowy oficer SB dziennikarce „Gazety Olsztyńskiej".

Podobno gdy w sierpniu 1976 r. Galvanauskas vel Gilwiński został zatrzymany, nie był tym zbytnio zdziwiony. W czasie śledztwa przyznał się w końcu do swego prawdziwego nazwiska oraz tego, że był członkiem litewskiego Sonderkommando, który... stał na warcie w Ponarach. Z czasem zmienił swoje zeznania i przyznał się do zastrzelenia 300 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, oraz eskortowania ofiar z Łukiszek do miejsca straceń. Mówił też, że strzelał, ponieważ nie miał wyjścia: „Powiedziałem podporucznikowi Norwaiszy, że nie mogę strzelać. Na to on podniósł pistolet, którego lufę skierował w moją stronę, mówiąc: «Stawaj do szeregu, bo znajdziesz się w dole razem z Żydami. To jest mój rozkaz i masz go wykonać». Zrozumiałem, że za chwilę mnie zastrzeli, więc padłem na kolana i powiedziałem: «Przecież ja nie jestem Żydem», wówczas Norwaisza powiedział: «Stawaj na miejscu do szeregu i strzelaj». Podniosłem się więc i stanąłem w szeregu. Następnie zacząłem strzelać".

Ostateczny wyrok w sprawie Galvanauskasa vel Gilwińskiego zapadł w 1978 r. i brzmiał – 25 lat więzienia.

„Dla Litwinów to 300 par obuwia"

Pierwszy znany zapis Kazimierza Sakowicza w jego dzienniku nosi datę 11 lipca 1941 r.: „...strzały trwałą godzinę, dwie. Na «grodzieńce» [drodze z Wilna do Grodna – przyp. S.R.] dowiaduję się, że do lasu «przypędzili» dużo Żydów. I raptem do nich strzelają"; „Wrażenie przygnębiające. Strzały ucichły po godzinie 8 wieczorem, potem trwały nie salwy, lecz pojedyncze".

Pierwsza egzekucja odbyła się w Ponarach kilka dni wcześniej – 4 lipca 1941 r., kiedy to rozstrzelano ponad 50 żydowskich mieszkańców Wilna.

23 lipca Sakowicz notował: „Sądny dzień, przypędzono 500 osób. Strzelano do późna, krzyki «ja nie komunista!», «co robicie?!». Zaczęli uciekać, strzelanina po całym lesie, przez całą noc i ranek. Wyłapywano, strzelano i dobijano".

W sierpniu Sakowicz napisał lakonicznie, że „dla Niemców 300 Żydów to 300 wrogów ludzkości, dla Litwinów to 300 par obuwia, spodni itd.". „Strzelali, 80 szaulisów, pilnowali dookoła płotu – 100 szaulisów. Strzela-

eprasa.pl 14a885cb4b

jący pijani. Przed rozstrzelaniem katowali [...]. Strasznie katowali mężczyzn i kobiety. Mężczyzn strzelali osobno, kobiety rozbierano do bielizny. [...] Plutonowy litewski wyszedł na szosę w futrze kobiecym". Szaulisi to inaczej strzelcy litewscy, członkowie organizacji nacjonalistycznej. Formacja istnieje do dzisiaj.

Sakowicz nie ubarwia, nie epatuje patosem ani przymiotnikami. Jego notatki są suche i chyba dlatego dziennik jest tak wymowny i zapada w pamięć. Pokazuje, że wojna, każda i pod każdą szerokością geograficzną i w każdym czasie, wyzwala w ludziach demony. Obowiązująca wtenczas bezkarność pcha do czynienia największych zbrodni, również do ludobójstwa. Raz jest to las w Piaśnicy, innym razem w Palmirach lub Kozich Górach. Raz ludobójstwo dokonywane jest w Imperium Osmańskim, byłej Jugosławii, a innym razem w Rwandzie.

Mnie w dzienniku Sakowicza przeraża nie tylko to, że pijani Niemcy, Litwini i przedstawiciele innych narodowości masowo zabijali ludzi, ale też to, że ci, którzy mieszkali w pobliżu Ponar, przyjmowali te mordy jako coś normalnego, na czym można jeszcze skorzystać. W październiku 1941 r. „jeden z wieśniaków przyszedł do Litwinów z samogonką po «łachy żydowskie» (ubrania), to za wódkę otrzymał cały wór łachów, wór był wyjątkowo ciężki. Chłop zaciekawiony, co to jest, w sąsiednim lesie odwiązał worek i zaczął przeglądać rzeczy. Ujrzał pod rzeczami zabitego wepchniętego Żydka, ukrył go pod mchem". W kolejnym miesiącu Sakowicz pisał: „Z bazy wyszedł szaulis z karabinem i na drodze (był to dzień rynkowy, piątek) zaczął sprzedawać przyniesione damskie ubrania: kilka płaszczy, sukien, śniegowce". Jeden z kupujących zapytał Litwina, czy miałby coś na jego żonę, która siedziała obok niego na wozie, na co ten odparł, by poczekali, bo on „wybierze Żydówkę jak raz na miarę". Do chłopa dotarło, skąd są ubrania, więc przyciął konia i odjechał z żoną. „Szaulis zjawił się z ubraniem, był zły, że tych «chamów» nie ma, bo «trudził» się, wybierając Żydówkę z czwartej kolejki", która była mniej więcej tego samego wzrostu, co wieśniaczka.

W PONARACH ZAMORDOWANO „KILKADZIESIĄT TYSIĘCY OBYWATELI POLSKICH POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO, ŻOŁNIERZY PODZIEMIA POLSKIEGO NA WILEŃSZCZYŹNIE ORAZ INTELIGENCJI POLSKIEJ".

Widział na własne oczy

Niemieckie nazistowskie ludobójstwo doczekało się niezliczonej liczby opracowań, wspomnień, dzienników, pamiętników, powieści itd. Tak jak wstrząsające są opowiadania Tadeusza Borowskiego o Auschwitz, tak wstrząsający jest reportaż Józefa Mackiewicza „Ponary – «Baza»", który ukazał się we wrześniu 1945 r. w emigracyjnym piśmie „Orzeł Biały". Potem Mackiewicz wykorzystał ten reportaż w swojej powieści „Nie trzeba głośno mówić". Poniżej tylko dwa fragmenty tekstu Mackiewicza, świadka sowieckiej zbrodni w Katyniu i niemieckiej w Ponarach:

„Na stole kilka wysmukłych butelek litewskiej monopolowej wódki, pocięty chleb i zwoje kiełbasy. Jakby stragan na odpuście. Stół otacza kilkanaście postaci w mundurach [...]. «Halt!» powiedział Niemiec w mundurze gestapowca. Wyjąłem dokumenty i odczuwam, że to wszystko razem jest wstrętne, ta wódka, i te twarze pijących, i to, że mnie serce skacze pod gardło, i te zwoje kiełbasy, i fakt, że ten chleb pokrajał ktoś z takim pietyzmem na równe kawałki, a zwłaszcza ten stolik i dlaczego on się kiwa? Nie mogli to postawić go równiej? I co to ma w ogóle znaczyć? Kilku Niemców z Gestapo, kilku czarnych SS. Przeważają policjanci litewscy, ale też jakaś zbieranina w jasnych niemieckich mundurach z odznakami litewskimi, łotewskimi, estońskimi, ukraińskimi...".

„Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka. Ja nie słyszę, ale widzę z ułożenia ust małej, że woła ona: «mame!»... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi chwyta matkę za włosy. Czy wy myślicie, że ci oprawcy, kaci, gestapowcy, SS-mani, że ta policyjna hołota, zwerbowana do mordowania, nigdy się nie rodziła jak my, nie miała matek własnych? Kobiet? Mylicie się. Są oni właśnie z tej ludzkiej gliny, po ludzku – zezwierzęceni, bladzi jak śnieg, który tu kiedyś spadnie, są jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłędnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakżeby wytłumaczyć można, że ten oszalały kompletnie policjant chwyta Żydówkę za prawą nogę i usiłuje wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z gębą tak przekrzywioną jakby ciętą na ukos szablą, dokąd?! po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za szynę, spódnica zjeżdża do pasa, odsłaniając szare z brudu majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie je ku sobie i nie słychać, a widać, jak wyje: «Mammme!»... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami, uwiązanymi w ciemieniu kawałkiem łachmanka w kokardkę i... zamknąłem oczy...".

eprasa.pl 14a885cb4b

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

JAKUB PACAN

Na Marszu Niepodległości będą zbierane podpisy pod wnioskiem o referendum ws. Zielonego Ładu

Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, zapowiedział, że w tegorocznym Marszu Niepodległości, który 11 listopada przejdzie ulicami Warszawy, członkowie NSZZ „Solidarność” będą zbierali podpisy pod referendum ws. Zielonego Ładu.

– Członkowie Solidarności w Marszu Niepodległości brali udział praktycznie od samego początku. Tym razem występujemy oficjalnie z kilku względów. Jednym z nich jest wznowienie zbiórki podpisów o ogólnokrajowe referendum w sprawie polityki klimatycznej UE – mówił Bartłomiej Mickiewicz.

– Zachęcam do tego, aby składać podpisy i teraz, i podczas trwania Marszu Niepodległości, podczas którego będą je zbierać nasi wolontariusze. Zbiórka podpisów jest bardzo ważna i oddaje ideę tegorocznego hasła Marszu Niepodległości. O to właśnie nam chodzi, aby w Polsce Polak był gospodarzem – zaznaczył.

Fot. M. Żegliński

– Chcemy, aby Polacy wypowiedzieli się w sprawie polityki klimatycznej – czy w takim kształcie, w takim tempie i z takimi kosztami, jak obecnie, jest odpowiednia, czy jednak należy z tej polityki zrezygnować. To jest bardzo ważna rzecz dla każdego Polaka. W kontekście bycia gospodarzem we własnym kraju przypominam Państwu, że dwukrotnie został odrzucony prezydencki wniosek o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum. A przecież referendum to jest święto demokracji, to jest jedyna możliwość, kiedy obywatele mogą wypowiedzieć się w ważnej dla siebie kwestii – dodał wiceprzewodniczący Komisji Krajowej.

VII KONFERENCJA UNI EUROPA DS. POCZTY I LOGISTYKI

W dniach 29 września – 1 października 2026 w Berlinie odbyła się VII Konferencja UNI Europa ds. Poczty i Logistyki, która zgromadziła ponad 120 delegatów z całej Europy.

Jednym z głównych tematów była kampania „Save Our Post” oraz przygotowywana reforma unijnych przepisów pocztowych ukierunkowana na ochronę zatrudnienia, wzmocnienie układów zbiorowych i zapewnienie mieszkańcom dostępu do usług pocztowych w przystępnych cenach.

W imieniu delegacji Krajowego Sekretariatu Łączności NSZZ „Solidarność” głos zabrała Wiesława Mażarska, w konferencji uczestniczył również Wiesław Królikowski, przewodniczący Sekretariatu. Przedstawiono sytuację Poczty Polskiej i jej pracowników, w tym skutki redukcji zatrudnienia, zmian zasad wynagradzania oraz ograniczenia reprezentacji pracowniczej. Podkreślono potrzebę odbudowy dialogu społecznego, poprawy warunków pracy i zawarcia nowego Zakładowego Układu Zbiorowego Pracy. Odnotowano także rozpoczęcie merytorycznych negocjacji i wyrażono podziękowania dla UNI Europa za dotychczasowe wsparcie polskich pocztowców.

Ważnym elementem wystąpienia była rola Poczty Polskiej

eprasa.pl 14a885cb4b

Fot. M. Żegliński

„Tak zwana «sprawiedliwa transformacja» nie jest ani sprawiedliwa, ani nie jest transformacją”.

Bartłomiej Mickiewicz,
zastępca przewodniczącego KK NSZZ „S”,
Kongres Młodych w Chełmie

w zapewnianiu ciągłości usług oraz wspieraniu państwa w sytuacjach kryzysowych. Delegacja wskazała, że realizacja tych zadań wymaga przewidywalnego finansowania, odpowiedniej obsady, szkoleń i godziwych wynagrodzeń, a koszty utrzymywania gotowości do wykonywania zadań publicznych powinny być uwzględniane w decyzjach dotyczących przyszłości przedsiębiorstwa.

Podczas czwartkowych obrad 1 października dokonano wyborów do władz regionalnych UNI Europa. Wiesława Mażarska została członkiem tytularnym Komitetu Sterującego na Europę Środkową i Wschodnią, a Magdalena Lebiedź – pierwszym zastępcą w tym gremium. Wybór obu przedstawicielek stanowi istotne wzmocnienie polskiej reprezentacji w europejskich strukturach związkowych.

URSZULA RUSAK Z NSZZ „S” W SPREADSHIRT MANUFACTURING POLSKA WRACA DO PRACY

Sąd Rejonowy w Legnicy zabezpieczył powództwo Urszuli Rusak, działaczki NSZZ „Solidarność” w Spreadshirt Manufacturing Polska. 22 września 2026 roku sąd nakazał pracodawcy dalsze zatrudnianie jej na dotychczasowych warunkach pracy i płacy do czasu prawomocnego zakończenia postępowania.

Wcześniej, 14 września, Prezydium Zarządu Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność” zajęło stanowisko w sprawie wypowiedzenia umowy o pracę Urszuli Rusak, zastępczyni przewodniczącego organizacji zakładowej w legnickiej firmie. Związkowcy podkreślili, że Rusak była objęta szczególną ochroną związkową, a pracodawca, według ich stanowiska, nie uzyskał zgody organizacji na rozwiązanie z nią umowy. Solidarność uznała to za naruszenie przepisów dotyczących ochrony działaczy związkowych.

Wypowiedzenie umowy nastąpiło w trakcie trwającego sporu zbiorowego w zakładzie. Rokowania zakończyły się bez porozumienia. Komisja Zakładowa sporządziła protokół rozbieżności i wystąpiła o wyznaczenie mediatora.

HUTNICY DEBATOWALI O PROBLEMACH BRANŻY W KUCZOWIE

W Kuczowie (woj. świętokrzyskie) odbyło się posiedzenie Rady Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „Solidarność”, podczas którego omawiano najważniejsze problemy branży hutniczej w Polsce na tle sytuacji w Europie i na świecie.

Hutnicy po raz trzydziesty pierwszy pielgrzymowali też do Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski w Kałkowie-Godowie.

Posiedzenie otworzył przewodniczący Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „Solidarność” Andrzej Karol. Obrady współprowadzili jego zastępcy: Andrzej Gębara z Krakowa oraz Wojciech Krasuski z Ostrowca Świętokrzyskiego.

Wśród gości znaleźli się m.in. wiceprzewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Maciej Kłosiński, przewodniczący Zarządu Regionu Małopolskiego NSZZ „Solidarność” Tomasz Zaborowski oraz przewodniczący Zarządu Regionu Podlaskiego NSZZ „Solidarność” Józef Mozolewski. W obradach uczestniczył również Jacek Strączyński, przewodniczący ZR Częstochowskiego NSZZ „S”, który jest również członkiem Prezydium Rady KSH NSZZ „S”.

W obradach uczestniczyli także przedstawiciele nowej organizacji, która przystąpiła do Krajowej Sekcji Hutnictwa – Silgan White Cap z Niepołomic w Małopolsce. Zakład specjalizuje się w produkcji nakrętek, wieczek i zamknięć do słoików oraz butelek.

J.P.

Kalendarium
Solidarności

19.10.1984 – zostaje uprowadzony, a następnie zamordowany ks. Jerzy Popiełuszko;

20.10.1997 – powstaje koalicja AWS – Unia Wolności, posłowie AWS wieszają na sali sejmowej krzyż;

16.10.1998 – z okazji 20. rocznicy pontyfikatu papieża Jana Pawła II do Watykanu wyruszyła II Ogólnopolska Pielgrzymka Świata Pracy NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl 14a885cb4b

Solidarność staje w obronie Trybunału Konstytucyjnego

Fot. M. Żegliński

Podczas ubiegłotygodniowych obrad członkowie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" przyjęli stanowisko, w którym potępili działania zmierzające do **podporządkowania** Trybunału Konstytucyjnego bieżącym interesom politycznym. „Żaden mandat wyborczy nie daje prawa do dowolnego traktowania przepisów ani przejmowania kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym, który ma stać na straży praw Polaków" – czytamy w treści pisma.

Barbara Michałowska

Próby ograniczania jego niezależności, kwestionowanie znaczenia jego orzeczeń i wykorzystywanie finansowania jako środka nacisku podważają podstawy państwa prawa, w którym obywatele powinni móc czuć się bezpiecznie – podkreślili członkowie Komisji Krajowej.

„Żaden cel polityczny nie może zastępować przestrzegania podstawowych praw"

„Przez lata byliśmy przekonani, że przestrzeganie Konstytucji i obowiązek działania w granicach prawa są zasadami, których żadna władza nie może podważać, dlatego nie ma naszej zgody na sytuację, w której stają się one przedmiotem politycznego targu" – czytamy w stanowisku.

Jego autorzy podkreślili, że nie interesują ich przepychanki polityczne, ale prawa obywateli, którzy potrzebują pewności, że prawo będzie ich chronić, a państwo wywiąże się ze swoich obowiązków. W demokratycznym państwie, jak napisali, żaden cel polityczny – również przedstawiany jako naprawa instytucji państwa – nie może zastępować przestrzegania podstawowych praw.

„Nasz szczególny sprzeciw budzi narażanie pracowników Trybunału na utratę wynagrodzeń w imię politycznej walki. Osoby zatrudnione w tej instytucji, nie tylko sędziowie, ale przede wszystkim szeregowi pracownicy, nie odpowiadają za konflikty między organami państwa. Nie mogą być zakładnikami decyzji rządzących. Domagamy się zapewnienia środków na funkcjonowanie Trybunału i wynagrodzenia jego pracowników" – podkreślili autorzy stanowiska.

eprasa.pl 14a885cb4b

„Obrona Trybunału oznacza jednocześnie dla nas obronę jego rzeczywistej niezależności. W jego składzie powinny zasiadać osoby o nieposzlakowanej opinii, niezależne politycznie, zdolne rozstrzygać na podstawie Konstytucji, bez nacisków ze strony jakiejkolwiek władzy. Obywatele muszą mieć pewność, że o ich prawach nie decyduje interes partii, która w danym momencie rządzi" – dodali.

Jak podkreślili autorzy pisma, stanie na straży praworządności jest obowiązkiem Solidarności.

„To część naszego dziedzictwa i tożsamości. 46 lat walki o godność człowieka, wolność i prawa ludzi pracy dają nam mandat do tego, że gdy naruszane są podstawowe prawa obywateli, musimy zabrać głos i podjąć działania. Milczenie w takiej sytuacji oznaczałoby odejście od wartości, z których wyrośliśmy" – napisali.

W stanowisku wezwali rząd i wszystkie organy władzy publicznej do przestrzegania Konstytucji, poszanowania niezależności Trybunału Konstytucyjnego, respektowania jego orzeczeń i zagwarantowania podstawowych praw jego pracownikom.

„Spory dotyczące instytucji państwa należy rozwiązywać zgodnie z prawem. Nie mogą one służyć jako usprawiedliwienie dla nacisków, gróźb czy pozbawiania ludzi środków do życia" – podkreślili.

„Państwo prawa ma chronić obywatela przed samowolą władzy. Jeżeli rządzący uznają, że mogą przestrzegać tylko tych zasad, które są dla nich wygodne, i stosować prawo tak, jak oni sami je rozumieją, zagrożone stają się prawa każdego z nas. Na takie traktowanie państwa i jego obywateli nigdy nie będzie zgody Solidarności" – czytamy w stanowisku.

Członkowie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" odnieśli się również do sugestii przedstawicieli obozu rządzącego o zamiarze siłowego przejęcia kontroli nad TK.

„Apelujemy do wszystkich środowisk politycznych i prawniczych, do wszystkich Polaków o aktywną obronę Trybunału Konstytucyjnego, a do Rządu RP, by wypełniał swoje zobowiązania wobec obywateli, którym służy" – napisali autorzy stanowiska.

„Nie ma naszej zgody na świadome podważanie powagi urzędu"

Podczas obrad członkowie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" wyrazili również stanowczy sprzeciw wobec języka pogardy, pomówień i publicznego znieważania prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

„Można krytykować decyzje, działania i poglądy. Nie ma jednak naszej zgody na obrażanie człowieka oraz świadome podważanie powagi urzędu poprzez insynuacje, wyzwiska i personalne ataki, których dopuszczają się między innymi osoby publiczne, uchodzące w niektórych środowiskach za autorytety" – zaznaczono w stanowisku.

„Dobrze wiemy, czym jest walka o godność. Od 46 lat upominamy się o szacunek dla ludzi pracy i dla tych, których próbowano poniżać tylko dlatego, że mieli odwagę mówić własnym głosem. Nie będziemy milczeć wtedy, gdy publiczna debata zamienia się w zorganizowaną, naszym zdaniem, akcję szerzenia pogardy wymierzoną w głowę państwa" – dodali autorzy stanowiska.

Członkowie Komisji Krajowej NSZZ „S" przypomnieli, że Prezydent Rzeczypospolitej sprawuje najwyższy urząd w państwie, a zarazem stanowi jeden z filarów demokratycznego porządku Rzeczypospolitej Polskiej.

„Żądamy od Ministra Sprawiedliwości i prokuratury podjęcia działań i wyciągnięcia konsekwencji wobec osób, które dopuszczają się zniewagi Prezydenta RP. Nie ma naszej zgody na wybiórcze działanie aparatu państwa – na natychmiastową reakcję wobec jednych i bezczynność wobec innych, także w przypadkach rażących obelg wymierzonych w głowę państwa. Są granice, których przekraczać nie wolno i na przekraczanie których nigdy nie będzie naszej zgody" – zaznaczyli związkowcy.

> ***Domagamy się zapewnienia środków na funkcjonowanie Trybunału i wynagrodzenia jego pracowników.***
>
> **STANOWISKO KK NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"**

Zaprzysiężenie przewodniczącej Solidarności Ziemi Radomskiej

Posiedzenie tradycyjnie rozpoczęło się od wprowadzenia sztandaru oraz modlitwy. Następnie uczczono minutą ciszy pamięć dwóch zmarłych niedawno zasłużonych dla Solidarności – Aleksandra Piwońskiego oraz Zdzisława Maszkiewicza.

Następnie zaprzysiężono na członka Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Beatę Sułowską, która po śmierci dotychczasowego przewodniczącego Zdzisława Maszkiewicza została wybrana pod koniec września na przewodniczącą Zarządu Regionu Ziemia Radomska NSZZ „Solidarność".

Andrzej Burnat, przewodniczący Zarządu Regionu Płockiego NSZZ „S", przekazał przewodniczącemu KK NSZZ „S" Piotrowi Dudzie pamiątkowy medal związany z 50. rocznicą wydarzeń Czerwca 1976 roku.

eprasa.pl 14a885cb4b

GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: Etykieta zamiast istoty, czyli skąd ten polityczny cień?

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Kiedy rozmawiamy z młodymi ludźmi o problemach w pracy – o śmieciówkach, darmowych nadgodzinach czy braku szacunku – słuchają z uwagą. Zgadzają się z każdym słowem. Jednak w ułamku sekundy, gdy w tej samej rozmowie pada nazwa NSZZ „Solidarność”, na ich twarzach pojawia się chłód, a w oczach zapala się czerwone światło. Padają wtedy zdania wypowiadane z absolutnym przekonaniem: „Przecież wy jesteście partią polityczną”. Dlaczego tak wielu młodych pracowników widzi w potężnym związku zawodowym jedynie polityczną przybudówkę?

Aby to zrozumieć, trzeba spojrzeć na świat oczami pokolenia ukształtowanego przez media społecznościowe i telewizyjne paski informacyjne. Młody człowiek nie czyta statutów, nie bada historii sporów zbiorowych ani nie śledzi setek porozumień płacowych negocjowanych w zaciszu zakładów pracy. Czerpie wiedzę z migawek: widzi liderów związkowych występujących na konferencjach obok polityków, słyszy o poparciu w wyborach prezydenckich czy parlamentarnych i w jego głowie uruchamia się automatyczny proces uproszczenia.

Psychologia poznawcza nazywa to błędem generalizacji. Skoro związek pojawia się w kontekście politycznym, to dla młodego odbiorcy staje się tożsamy z partią. Dodatkowo działa tu naturalna dla młodych niechęć do polityki jako takiej, którą postrzegają jako brudną grę cyników o stołki. Przenoszą tę niechęć bezpośrednio na Solidarność. Związek przestaje być w ich oczach tarczą chroniącą pracownika, a zaczyna jawić się jako kolejna frakcja walcząca o wpływy na Wiejskiej.

Drugą stroną tego medalu jest nasza własna komunikacja. Jako związek zbyt często pozwalamy, by w przestrzeni publicznej dominowały tematy wielkiej polityki, zamiast głośno i nowocześnie opowiadać o naszej codziennej, twardej robocie. Młody pracownik wchodzący do firmy nie wie, że to komisja zakładowa wywalczyła wyższe stawki, wymusiła na pracodawcy zakup klimatyzacji czy obroniła przed zwolnieniem samotną matkę. Ta gigantyczna, mrówcza praca dzieje się po cichu, za zamkniętymi drzwiami.

W efekcie powstaje bolesna próżnia informacyjna. Młodzi widzą flagi związku na wiecach, ale nie widzą związku na swoim własnym dziale. Trudno im pojąć, że dialog z władzą – każdą władzą, bez względu na jej barwy – jest statutowym obowiązkiem związku zawodowego, bo to tam zapadają decyzje o płacy minimalnej czy wieku emerytalnym. Zamiast pragmatyzmu widzą w tym partyjny sojusz.

Z tego kryzysu wizerunkowego płynie kluczowy morał dla nas, związkowców. Nie zmienimy myślenia młodych, obrażając się na ich niewiedzę czy pouczając ich z pozycji moralnej wyższości. Zmienimy je tylko wtedy, gdy odkłamiemy ten mit w bezpośredniej rozmowie.

Musimy im pokazać, że legitymacja Solidarności nie ma barw partyjnych. Naszą jedyną partią jest załoga zakładu pracy. Kiedy stajemy w obronie zwalnianego człowieka, nikt nie pyta go o poglądy polityczne, wyznanie czy to, na kogo głosuje. Liczy się tylko to, że jest pracownikiem, któremu dzieje się krzywda.

Rozejrzyj się dzisiaj po swoim miejscu pracy. Jeśli słyszysz od młodszego kolegi, że związek to polityka, nie machaj ręką. Usiądź z nim na przerwie. Opowiedz mu, czym zajmuje się wasza komisja tu, na miejscu. Pokaż mu realne porozumienia i wsparcie, jakie dajemy sobie nawzajem. Bo prawdziwą Solidarność odpolitycznia się nie w telewizyjnym studiu, ale na zakładowym korytarzu – ramię w ramię, w autentycznym dialogu, pokazując, że naszą jedyną siłą jest wspólnota ludzi pracy.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 14a885cb4b

PRAWO

Telefon w kieszeni, nagrywanie włączone. CZY TO LEGALNE?

Przypuśćmy, że policjant zatrzymuje mnie do kontroli, urzędnik prowadzi ze mną rozmowę w urzędzie lub pracodawca wzywa mnie na spotkanie, podczas którego chce wręczyć mi wypowiedzenie. W każdej z tych sytuacji mam telefon w kieszeni i mogę włączyć nagrywanie. Czy mogę to zrobić **bez informowania** drugiej osoby? Czy za samo nagranie rozmowy może spotkać mnie jakaś kara?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W praktyce wiele osób uważa, że nagrywanie rozmowy bez zgody rozmówcy jest zawsze nielegalne. Nie jest to jednak takie proste. Znaczenie ma przede wszystkim to, czy sami uczestniczymy w nagrywanej rozmowie. Zupełnie inaczej wygląda bowiem sytuacja osoby, która nagrywa własną rozmowę, a inaczej kogoś, kto pozostawia telefon w pomieszczeniu i nagrywa rozmowę innych osób, w której sam nie uczestniczy. Jeżeli nagrywamy rozmowę, której sami jesteśmy uczestnikiem, samo jej utrwalenie co do zasady nie oznacza popełnienia przestępstwa polegającego na bezprawnym uzyskaniu informacji. Nie oznacza to jednak, że każda forma takiego nagrywania jest automatycznie zgodna z prawem. W określonych sytuacjach może dojść do naruszenia dóbr osobistych, w szczególności prywatności lub swobody wypowiedzi. Sąd Najwyższy zwracał uwagę, że potajemne nagrywanie rozmówcy może naruszać jego dobra osobiste. Dobrym przykładem jest pracownik, który zostaje wezwany przez pracodawcę na rozmowę dotyczącą rozwiązania umowy o pracę. Sam fakt, że pracodawca nie wiedział o nagraniu, nie oznacza automatycznie, że pracownik popełnił przestępstwo. Nie oznacza również, że nagranie zawsze będzie można bez żadnych konsekwencji wykorzystać. Sąd może oceniać zarówno sposób jego uzyskania, jak i okoliczności całej sprawy. W orzecznictwie Sądu Najwyższego pojawiały się również sprawy, w których potajemne nagranie rozmowy było oceniane w kontekście postępowania pracowniczego i ochrony dóbr osobistych. Jeszcze inaczej wygląda sytuacja podczas interwencji policjanta. Jeżeli funkcjonariusz wykonuje czynności służbowe w miejscu publicznym, obywatel może dokumentować przebieg interwencji, o ile samo nagrywanie nie utrudnia wykonywania czynności. Rzecznik praw obywatelskich wskazywał na znaczenie możliwości dokumentowania czynności funkcjonariuszy i późniejszego wykorzystania takiego materiału do wyjaśnienia przebiegu interwencji. Warto jednak odróżnić samo nagranie od jego późniejszego rozpowszechniania. To, że możemy nagrać rozmowę albo interwencję, nie oznacza automatycznie, że możemy następnie wrzucić nagranie do internetu i opublikować wizerunek oraz wypowiedzi nagranej osoby. Udostępnienie nagrania może bowiem wiązać się z odrębną oceną prawną, między innymi z uwagi na ochronę prywatności, dóbr osobistych czy wizerunku. Szczególnie ryzykowne jest natomiast nagrywanie rozmowy, w której sami nie uczestniczymy. Przykładowo pozostawienie telefonu w pokoju pracowników i nagrywanie ich prywatnej rozmowy może być zupełnie inną sytuacją niż włączenie dyktafonu podczas własnego spotkania z pracodawcą. Przepisy karne chronią bowiem informacje, które nie są przeznaczone dla osoby uzyskującej do nich dostęp. Nie należy więc utożsamiać nagrywania własnej rozmowy z podsłuchiwaniem cudzej rozmowy. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 14a885cb4b

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Jarosław Jakubowski (Były sobie..., s. 58),
poeta, prozaik, dramatopisarz, krytyk literacki, dziennikarz. Autor tomów wierszy, powieści i zbiorów opowiadań oraz sztuk teatralnych. W 2023 r. otrzymał Nagrodę Mediów Publicznych w kategorii „Idea", a także Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

Krzysztof Karnkowski (Warszawa jest..., s. 16),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Zdzisław Krasnodębski (Wygładzić..., s. 50),
jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Monika Małkowska (Stolica..., s. 12),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Sebastian Reńca (Hołota..., s. 64),
pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

Agnieszka Żurek („Ȯpi"..., s. 62),
z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 14a885cb4b

UNIKATOWA

OFERTA KOSZULEK

Z WIZERUNKIEM

BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA

JERZEGO POPIEŁUSZKI

DOSTĘPNA NA

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 14a885cb4b

WYDANIE SPECJALNE

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

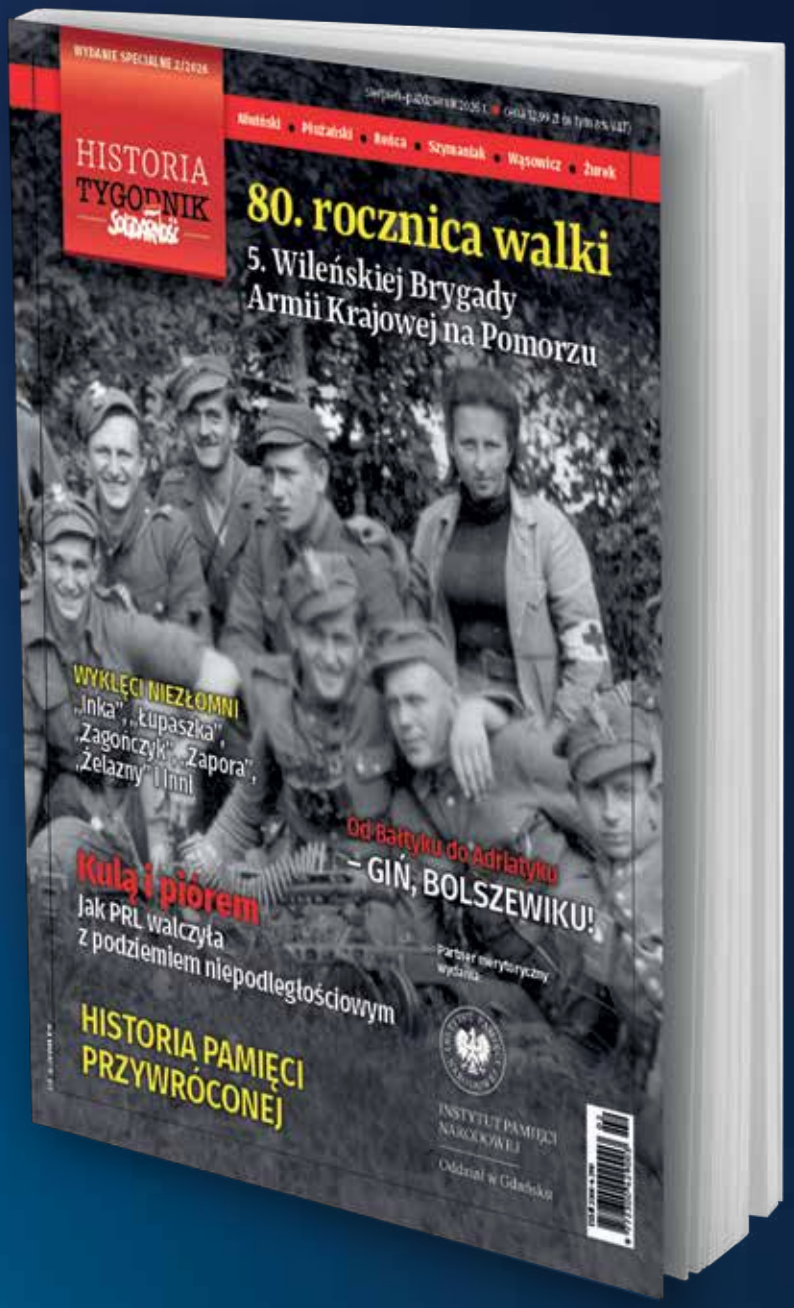

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL,
W EMPIKACH I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl 14a885cb4b